№ 31. Warszawa, dnia 2 Sierpnia (21 Lipca) 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. **7**.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

DLA DZIECI PRACUJĄCYCH.

Europa przedstawia obecnie szczególny widok: jedną ręką tłumi bunty socyalizmu, a drugą wprowadza zmiany z niego poczęte. Ubezpieczenia robotników, prawa fabryczne itd. — wszystko to są środki, wytworzone dla osłonięcia pracy a zwrócone przeciwko kapitałowi. Wątpić trudno, że po tej drodze państwa iść będą ciągle i zajdą daleko. Konserwatyzm ma tyle przezorności, że widzi wzrastającą potęgę stanu czwartego, i tyle sumienia, że go całkowicie rozbrajać i na łup klasie uprzywilejowanej wydawać nie chce. Wszędzie zatem państwo wkracza ze swą władzą wstosunki ekonomiczne i chociaż nie przerabia ich do gruntu, łata, restauruje i zastosowywa do zmienionych a niepokonanych wymagań.

Przed dwoma laty ogłoszoną została w Rosyi ustawa, nakładająca fabrykantom wędzidła w wyzyskiwaniu pracy dzieci. Ustawa ta wszakże musiała się okazać niedostateczną, bo świeżo *Prawit. Wiestnik* przynosi liczne jej dopełnienia, zawierające szereg kar za omijanie prawa. Według tych nowych przepisów dzieci, pracujące w zakładach przemysłowych a nieposiadające świadectwa z ukończenia nauki elementarnej, winny uczęszczać do szkół fabrycznych lub też najbliższych rządowych. Właściciele fabryk otrzymują też prawo zakładania takich szkół w obrębie swych warsztatów i piastowania godności ich kuratorów honorowych. W potrzebie wolno im to czynić siłami wspólnemi a wtedy wybierają z pomiędzy siebie kuratora. Plan nauki tego rodzaju szkół winien być zatwierdzony przez ministra oświaty w porozumieniu z ministrem skarbu. Dzieci, niemające lat 14 mogą uczyć się razem, później chłopcy i dziewczęta winny być kształcone oddzielnie.

Czas roboczy, nieprzechodzący w nocy godzin 4, w ciągu całej doby nie powinien być dłuższy nad godzin 6 dla dzieci od lat 12 do 16. Przepis ten jest tymczasowy, ale może być usunięty dopiero po próbie dwuletniej. Na koszta inspekcyi w całym państwie rząd wyznaczył 78,500 rs., które wypłacone będą od roku przyszłego przez departament przemysłu i handlu. Inspektor naczelny otrzyma rocznie 5,000 rs., okręgowi zaś po 3,000, a ich pomocnicy po 2,000 rs. Inspekcyę ustanowiono naprzód tam, gdzie istotnie rozwinął się przemysł fabryczny. W tym celu podzielono państwo na 9 okręgów, z których trzy ostatnie ogarniają prowincye południowo-zachodnie Cesarstwa oraz Królestwo polskie, mianowicie VII, kijowski—gubernie: kijowską, wołyńską, podolską i chersońską; VIII, wileński—gubernie: wileńską, kowieńską, grodzieńską, mińską, mohylewską, witebską i kurlandzką; IX, warszawski—gubernie: warszawską, kaliską, kielecką, łomżyńską, lubelską, piotrkowską, płocką, radomską, suwalską i siedlecką.

Pisząc przed dwoma laty *) o pierwszej seryi rozporządzeń, dodaliśmy następującą uwagę: „Nowe prawo przyniosłoby istotną korzyść, gdyby się wsparło drugim, koniecznie dopełniającym go czynnikiem, mianowicie — nakazem uczęszczania do szkoły. W piątym paragrafie znajdujemy pewną pod tym względem dążność. Wymaga on od właścicieli fabryk, ażeby *nie przeszkadzali* dzieciom kształcić się. Naturalnie jest to za mało, bo fabrykanci mogą nie przeszkadzać, a ich młodzi pracownicy ze swobody tej nie korzystać." Otóż ten słaby punkt został obecnymi przepisami wzmocniony. Fabrykanci obowiązani są nietylko *nie przeszkadzać* dzieciom w kształceniu się, ale je kształcić i zakładać szkoły. Jest to sprawa niezmiernie ważna, gdyż bodaj w drobnej cząstce wprowadza do nas oświatę przymusową. Za granicą robotnicy są wyzyskiwani, ale przynajmniej kształceni; u nas dźwigali dwa ciężary: niewynagradzanej pracy i ciemnoty. Jeden zsuwa się z ich ramion i to ten właśnie, który powinien być naprzód zdjęty.

Maszyna więc gotowa, ustawiona, zachodzi tylko pytanie, czy ona prawidłowo działać będzie. Jednem z wielu nieszczęść naszych jest głęboko zakorzeniony i nieraz usprawiedliwiony popęd do obchodzenia prawa, które straciło w oczach naszych swoją nietykalność, swój święty majestat. W kraju, gdzie każdy karczmarz izraelita, każdy szlacheckiego pochodzenia posiadacz gruntów chłopskich, każdy popisowy, każdy obywatel płacący podatki — musi uciekać się do podstępów, w kraju nałogowego łamania ustaw — należytego spełnienia przepisów fabrycznych również spodziewać się nie można. Smutne to, lecz prawdziwe. Miejmy jednak nadzieję, że jeżeli nie całe skrzydło opiekuńcze, to przynajmniej jego część rozpostrze się nad dziećmi, ginącemi

*) Patrz nr. 29. *Prawdy* z r. 1882.

we wnętrzu przemysłowego Molocha. Fabrykantom dano prawo zakładania szkół, prawo, ograniczone warunkami oświaty ogólnej i decyzyą ministeryalną, ale i w tym szczupłym zakresie dobra wola wiele zdziałać może. Trzeba więc nie żałować tej dobrej woli, nie zastępować jej ani obojętnością, ani interesem własnej kieszeni. Obojętność ta byłaby w naszych stosunkach nie do przebaczenia, a kieszeń zawsze będzie dosyć wypakowaną, chociaż z niej kilka godzin dziennie ubędzie owoców pracy dzieci.

Rzecz szczególna i wykazująca szkodliwą przewagę namiętności politycznych nad sprawami społecznemi. Pewna część prasy rosyjskiej, zamiast rozbierać wartość i możliwy wpływ przyszłej ustawy, zastanawia się nad tem, że w podziale okręgów Kurlandya odłączona została od Inflant i Estonii. Charakterystyczne.

REZULTATY SPISU JEDNODNIOWEGO
m. Warszawy.

II *).

Ze statystyki zabudowań niepodobna prawie wyciągnąć wiadomości, któreby mogły zainteresować szersze koła czytelników, to też załatwimy się z nią bardzo prędko.

Ilość domów, nieposiadających studni, okazała się dość znaczną, gdyż wynosi 26,27%, tj. przeszło czwartą część wszystkich posesyj, przyczem najwięcej takich domów jest w cyrkułach I/II i II/III tj. w tych. do których należą ulice: Stare-Miasto, Freta, Mostowa, Dunaj, Brzozowa, Przyrynek, Piwna, Gołębia itd. Niema tam również i wodociągów, skutkiem czego ludność bardzo słabo zaopatrywana jest w wodę a zarazem wystawiona w wysokim stopniu na niebezpieczeństwa pożarów.

Co do ilości dziedzińców, na które można wjechać i zarazem, zawróciwszy, wyjechać, to wypada ich 90 na każde 100 posesyj, a zatem w razie pożaru działanie straży byłoby tam utrudnione. Stosunek ten okaże się jeszcze gorszym, jeżeli zwrócimy uwagę na okoliczność, iż w niektórych posesyach bywa po kilka podwórzy do wjazdu. Niezabrukowane stanowią przeszło trzecią część ogólnej ilości podwórzy.

Na ogólną sumę 4172 posesyj znaleziono 1385 ogrodów, a zatem położenie miasta pod tym względem nie przedstawia się tak źle, zważywszy zwłaszcza, że nie liczono tu wcale skwerów, klombów, pojedyncze zasadzonych drzew itp. Szkoda tylko, że ogrody trzymają się jedynie pewnych okolic miasta, przeważnie krańców.

Przejdźmy jednak do najważniejszej części, tj. do statystyki mieszkań, którą podam tu według tablic rękopiśmiennych, o czem już wspominałem w pierwszej części artykułu. Żałuję wielce, że brak miejsca nie pozwala mi napisać choć cokolwiek o wpływie mieszkań na zdrowie i moralność ludności. Ciekawych odsyłam do *Kuryera codziennego* (z lipca 1882), gdzie o tej kwestyi szeroko pisałem z powodu zamierzonego przez magistrat Warszawy nałożenia nowego podatku od mieszkań; przytoczyłem tam trochę faktów, poczerpniętych z naszego życia.

W dniu spisu jednodniowego znalazło się w Warszawie suteryn mieszkalnych 4422, z czego niezamieszkałych, tj. albo niewynajętych, albo też zajętych przez sklepy, warsztaty lub tp., przy których nikt nie mieszkał, było 339, a więc zamieszkałych 4083, w których żyło 21,893 osób, czyli 5,66% ogółu ludności miejskiej. Z tych mieszkań w 894 istniały jeszcze warsztaty lub sklepy, w których ktoś przebywał. Przyjrzyjmy się jednak bliżej stosunkom. Z pośród tych lokali 29 składało się wyłącznie z jednej izby bez okien, choć bardzo często, a nawet prawie zawsze, mającej drzwi oszklone; żyło tam 101 osób. Ponieważ drzwi oszklone nigdy nie zastąpią okna, możemy więc śmiało te mieszkania zaliczyć do najgorszych. Niektóre z nich są po prostu piwnicami, jak to zaznaczono w szemacie o jednym lokalu na ulicy Freta. Są też i mieszkania złożone z dwóch izb bez okien, przyczem pierwsza ma drzwi oszklone, druga zaś pozbawioną jest zupełnie światła. Najgorsza z tych ciemnic mieści w sobie 9 osób. Doprawdy nie wiem, który lokal uważać za gorszy, czy złożony z izby bez okna, a mający 9 mieszkańców, czy też inny, składający się z jednej izby z oknem, lecz za to zamieszkały przez 17 osób. Lokal ten znajduje się w cyrkule V/VI a jest chyba najgorszym w całej Warszawie.

Jeśli teraz wzniesiemy się trochę wyżej, to przejdziemy do mieszkań parterowych, które stanowią 42% ogólnej ilości. Są to już lokale pod każdym względem lepsze od suterenowych, chociaż i tu spotykają się obrazy dość straszne, jak np. znaczna ilość mieszkań ciemnych, zajętych przeważnie przez stróżów, a nawet mieszkania te charakteryzują parter. Drugą cechą parteru jest wielka ilość mieszkań na użytek przemysłu, głównie sklepów. Stanowią one połowę wszystkich parterowych i mieści się w nich prawie połowa ludności parterów.

W antresolach znajduje się bardzo mało lokalów, bo tylko 178; w cyrkule IV wcale ich niema, najwięcej zaś, bo 66, przypada na cyrkuł X, najbogatszą część miasta, gdzie są wcale niezłe. Za to w innych cyrkułach, biedniejszych, trafiają się antresole w rodzaju np. pewnej widzianej przeze mnie, gdzie nad oknem wznosił się ganek pierwszego piętra, z boków zaś, w odległości od siebie tylko 3 łokci, zasłaniały cały widok dwie ściany. W antresoli tej, złożonej z jednej izby, mieszkało 7 osób. Trzeba było widzieć dziecko kilko-miesięczne, skazane na ciągły zmrok w tej dziurze. Trudno sobie wystawić, aby żyjąca ludzka istota mogła posiadać tak grobową cerę! Wszedłszy tam o godzinie drugiej po południu, nie byłem w stanie pisać z powodu ciemności. Ale dziura ta przynosiła właścicielowi domu 7 rs. dochodu miesięcznego.

Lokale na pierwszem piętrze uważane są za najlepsze i płacone najdrożej, a więc zamieszkałe przez ludność bogatszą. Stanowią one trochę więcej, niż piątą część ogólnej ilości. Co do mieszkań pozbawionych okien, to tych jest niewiele na pierwszem piętrze, a mieści się w nich tylko 23 osób, podczas gdy w podobnychże lokalach na parterze mieści się aż 1046. Słowem pierwsze piętro jest to najarystokratyczniejsza część każdego domu,

Ilość lokali na drugiem piętrze bardzo się różni od ilości ich na pierwszem, gdyż wynosi tylko 13%. Mieszkania te, podobnie jak i mieszkania na wyższych jeszcze piętrach, najmniejszy procent ogólnej sumy danego cyrkułu stanowią na Pradze, która odznacza się małymi parterowymi domkami, jak to

*) Por. nr. 29.

---

5)

KARDYNAŁ

przez

Zofię Junghans.

— No, cóż tam, Maso? — zawołał wesoło drukarz Niccolo Niccolini. Jest nas tu dostateczny poczet, możemy z klasztoru dostać mniszkę, jeśli ci która wpadła w oko. Nic nie mam przeciwko temu, byle panienka ładną była, jak naprzykład kochanna naszego braciszka Lippo (malarza Filippo Lippi), zachwycająca Franciszka Buti!

Skoro Maso opowiedział, że jego młoda narzeczona znajduje się w pałacu Riaria, wszyscy głośnem na kardynała wybuchnęli oburzeniem. Najzagorzalsi chcieli zaraz, za dnia jeszcze, dostać się przemocą do pałacu i uwięzioną gołąbkę oswobodzić z klatki.

— Skądże wy Maso wiecie o miejscu pobytu dziewczyny? — spytał nareszcie jeden, rozważniejszy od innych, jakim sposobem popadła w moc jego?

— Zatrzymuje ją pod pozorem prawnym — odrzekł ponuro Tommaso. Na Gelsominę rzucono bezmyślne obwinienie o czary; jest więźniem inkwizycyi.

Słowa te czarodziejskie sprawiły wrażenie. Wszyscy umilkli; ci i owi zamienili z sobą wymowne spojrzenia.

— Maso, biedny mój bracie — odezwał się w końcu jeden — spotkało cię nieszczęście. Odbywaj boso procesye z bractwami zakonnemi i ofiaruj dary w kościołach. Co możesz począć, czego my dokazać zdołamy przeciwko sądom duchownym?

Znać było po zachowaniu się innych, że podzielali zdanie towarzysza. Maso opowiedział, jaki nieszczęśliwy traf stał się najprawdopodobniej powodem do obwinienia Gelsominy. Wszyscy słuchali go ze współczuciem; potrząsania głowami, wzruszania ramionami wyrażały, co myśleli o tych okolicznościach, wśród których żyli, a odnośnie których ludzie swobodnych przekonań, artyści, bez fanatycznego nastroju, jednozgodnie trzymać tylko mogli.

— Żeby tu szło tylko o kardynała, o tego szubrawca! — zawołał jeden, grożąc w górę zaciśniętą pięścią. Sądzę, że całe miasto byłoby po naszej stronie, gdybyśmy lisa trochę podkurzyli w jego jaskini.

— Ale tak — odezwał się ten, który pierwszy głos zabierał — ściągniemy sobie na kark Dominikanów, którym papież dał prawo prześladowania czarów i kacerstwa. Wszyscy wiecie, co to znaczy. Nie, według mnie, przemocą niczego tu dokazać nie można.

Dla Masa dość tego było.

— Masz słuszność, Dominico — zawołał niecierpliwie. Odejdźcie, moi przyjaciele, nie chcę was wciągać w biedę. Nie, nie, narażać was nie myślę... wiem, że w każdym innym wypadku liczyć na was mogę, prócz tego jednego, od którego życie moje zależy.

Ostatnim słowom gorzki towarzyszył uśmiech.

— Rzeczywiście, nie potrzebuję was nawet; wasze uwagi były słuszne; zmieniłem plan. Ty przy mnie zostaniesz, Sandro? I ty także Bernhardone?

Pochwycił rękę, którą mu podawał Bernhardone, malarz, młody, cichy chłopak, niezmiernie wysokiego wzrostu.

— Dziękuję ci. Nas trzech zupełnie wystarczy do wykonania zamysłu, który układam. A wam, przyjaciele, dzięki, żeście przyszli.

Młodzi ludzie odeszli wolniejszym niż przyszli krokiem. A że naturalnie potrzebowali się usprawiedliwić we własnych oczach, szemrali, idąc z powrotem, na tego szaleńca Tommaso, który tak mało dbał o bezpieczeństwo przyjaciół, że dla swoich miłostek gotów był ich oddać pod miecz inkwizycyi. Co do dziewki, kto ją tam wiedzieć może, czy nie zasłużyła sama na to, co ją spotkało! Jej babka, stara Benincasa, była wstrętną kobietą. Kto ją spotkał rano, trzykrotnie się żegnał i omijał zdaleka.

widać już i z małego procentu mieszkań na pierwszem piętrze.

Mieszkania na trzeciem, czwartem, piątem, szóstem i siódmem piętrze znajdują się przeważnie w cyrkule I/XI, tj. w dzielnicy staromiejskiej, przyczem na piętrach wyższych od czwartego w liczbie 25 prawie wszystkie przypadają na ten cyrkuł, gdyż tylko 4 na X. Że one nie mogą być zaliczone do normalnych, to rzecz jasna, bo przecież schody zwykle na tych piętrach są ciemne, nawet w nocy nieoświetlane, i narażają mieszkańców, a zwłaszcza dzieci na wypadki; dalej, z powodu wysokości nie dostaje się tam w dostatecznej ilości woda, co wcale nie może dobrze wpływać na zdrowie i przyzwyczajać mieszkańców do czystości. To też pomyje itp. zlewane są tylko wtedy, kiedy już konieczność do tego zmusza; zwykle zaś stoją w mieszkaniu i zarażają powietrze. Samo zresztą wchodzenie na takie wysokości, szczególniej dla starców, dzieci, chorych i kobiet brzemiennych jest wielce męczącem.

Na poddaszu znalazło się lokali 8857, czyli 11,14%, lecz, jak już wspomniałem poprzednio, cyfrę tę należałoby powiększyć kosztem innych piętr. Lokali tych chyba nikt nie zechce liczyć do zadawalających, gdyż po największej części są to nory z małym okienkiem, niskim i spadającym ku podłodze sufitem, ze zwykłym strychem zamiast korytarza, na którym dzieci przewracają się i uderzają o belki.

Sprobujmy teraz obliczyć, ile też osób ma w Warszawie mieszkania złe, lub choć dobre, lecz za ciasne skutkiem zbyt wielkiej ilości osób.

Za mieszkania złe, nienormalne uważam wszystkie w suterenach, na czwartem i wyższych piętrach, na poddaszu a także wszystkie lokale ciemne, bez względu na jakiem piętrze się znajdują; za przeludnione zaś takie, w których na jedną izbę przypada przeszło 5 osób; nie będę przeto nadmiernie wymagającym, bo przecież gdy w izbie jest już pięć osób, to i tak dość ciasno.

W suterenach, jak wspomniałem, mieszkało 21,893 osób, z czego 101 w lokalach, niemających okien.

Na poddaszach żyje znacznie więcej, bo 40,298 osób, przyczem nie należy zapominać, iż, podobnie jak w suterenach, wiele z tych lokali jest przeludnionych, i że w ciemnych mieszka 260 osób. Trafiają się i na poddaszu takie, gdzie w jednej stancyi mieszka 16, 17, a nawet i 19 osób.

Na czwartych i wyższych piętrach, do siódmego włącznie; mieszka 2478 osób; nawet w tak wysoko położonych lokalach trafiają się tak przeludnione, że w jednej izbie żyje np. 16 osób, a nawet 5 zajmuje mieszkania pozbawione okien.

Prócz tego w lokalach ciemnych, znajdujących się na innych piętrach, mieszka 1084 osób, z czego na samym parterze 1046, reszta rozkłada się w następujący sposób: w antresolach 2, na pierwszem piętrze 23, na drugiem 7 i na trzeciem 6. Najmniej z tych ciemnic przypada na Pragę, bo zamieszkuje je tylko 18 osób, najwięcej zaś na cyrkuł I/II, tj. dzielnicę staromiejską, bo 206 osób. Dodawszy do 1084 ilość osób zamieszkujących podobne lokale w suterenach, na poddaszach i zbyt wysoko, otrzymamy liczbę *1216*, wyrażającą ilość osób, którym w Warszawie *nie wolno wyglądać oknem*.

Znajdują się jednak ludzie jeszcze nieszczęśliwsi od nich, którzy wcale nie mają mieszkań, a sypiają w szlafbanach (stróż pewnego domu), stajniach, oborach, podziemiach, framugach, młynach, dorożkach (stróż na ulicy Pańskiej), którzy w dzień zmuszeni są przesiadywać w szynku, noc zaś przesypiać w bramie, jak stróż pewnego domu, gdzie właściciel wprost wyznaczył mu jako miejsce dziennego pobytu szynk, który mieści się w tym samym domu. Do tej samej kategoryi „mieszkań“ zaliczam i wagony, jak np. znajdujący się na ulicy Ogrodowej pod nr. 30. Osób zajmujących takie „mieszkania“ znaleziono podczas spisu okrągło 100, a z pewnością jest ich daleko więcej.

Co do mieszkań przeludnionych, to, z wyłączeniem suteryn, poddasza, zbyt wysokich piętr i ciemnic, zamieszkiwało je w dniu spisu 46,083 osób.

Zsumowawszy ilość mieszkańców w każdej z przytoczonych kategoryj, otrzymamy poważną sumę 111,936 źle mieszkających, czyli 29,22%, a zatem prawie trzecią część. Miłe stosunki ekonomiczne! Nie należy zapominać, że nawet z lokali uznanych przez nas za dobre, wypadnie bardzo wiele zaliczyć do złych, na dowód czego zwrócę uwagę czytelnika, iż mieszkania, w których prowadzi się jakieś zajęcie, stanowią piątą część ogółu lokalów.

Żałuję mocno, iż znajdujące się w mym posiadaniu dane nie pozwalają mi na robienie dokładniejszych obliczeń. Pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę czytelnika na metodę używaną przez p. Załęskiego, który dla obliczenia przeciętnej ilości osób wypadającej na jedną izbę, do ilości izb włączył wszystkie sklepy itp. niezamieszkałe lokale, przez co otrzymał tak małą przeciętną, bo wynoszącą 1,88.

A teraz zadajmy sobie pytanie, czy ludność Warszawy z amatorstwa mieszka w podobny sposób, czy też jej położenie ekonomiczne rzeczywiście jest tak straszne. Gdybym był reporterem, to dziwiłbym się, dlaczego ci biedacy nie chcą zamieszkać inaczej, ale ponieważ nim nie jestem, więc muszę odpowiedzieć cyframi na postawione wyżej pytanie.

Według danych, zbieranych przez magistrat od właścicieli fabryk, przeciętna płaca robotnicza wynosiła rocznie:

w r. 1877	222,06 rs.
„ 1878	252,01 „
„ 1879	255,12 „
„ 1880	274,64 „
„ 1881	281.80 „
„ 1882	286,10 „

A przecież ludność robotnicza stanowi większość mieszkańców, wobec więc tego niema się czemu dziwić, że stosunki lokalowe przedstawiają się nam w tak strasznym stanie. Może o tem jeszcze kiedy pomówimy.

Stanisław Bienias.

EUROPA POD BRONIĄ.

L' Europe sous les armes: takim jest tytuł książki, napisanej przez profesora szkoły S-t Cyr, p. pułkownika Hennebert.

Jesteśmy świadkami osobliwości pewnej, sprzecznej z tym instynktem samozachowawczym, który wszystkie wogóle stworzenia żyjące powstrzymuje od zguby oczywistej. Człowiek instynkt ów posiada spotęgowany rozumem i, dzięki temu, nie chodzi drogami, na których wie, że go zguba niechybna czeka. Taką jest reguła ogólna. Trzymają się jej ludzie, posiadający w głowie klepki wszystkie w stanie zdrowym. Skądże to pochodzi, że ta właśnie reguła przestrzeganą nie jest przez ludzi, obowią-

---

Zamiar ostatecznie przez Masa powzięty tak niesłychanie był zuchwałym, a jednocześnie tak prostym, że Lupi sam się dziwił, jakim sposobem nie wpadł na niego od razu. Udał się najzupełniej: czy to dzięki szczególnie sprzyjającym okolicznościom, czy też niezachwianemu postanowieniu przywódzcy dopięcia celu, bez względu na wszelkie przeszkody.

Wkrótce po wieczornem dzwonieniu, Tommaso Lupi z dwoma towarzyszami wszedł zupełnie spokojnie i bez przeszkody na ganek pałacu Riaria. Gdy Sandro Vasarelli drzwi szeroko otwarte przymykał i spokojnie klucz obracał w zamku, odźwierny Jacopo, nie domyślając się niczego, zbliżył się do Tommasa, który w okamgnieniu pochwycił go za gardło i powalił na ziemię. Nim zdołał głos wydać, zakneblowano mu usta. Maso skrępował go starannie sznurami, które miał przy sobie, zaniósł następnie do małej izdebki stróża przy bramie i tam go położył.

— Nic ci się więcej złego nie stanie Jacopo — rzekł do człowieka, który dlań był uprzejmym. Ja i moi towarzysze potrzebujemy się rozmówić z twoim panem, a przy tem nikt nam przeszkadzać nie powinien.

Następnie zadzwonił u drzwi wchodowych na służbę. A skoro się zjawiał który ze służących, nadchodzących oddzielnie, Maso z towarzyszami chwytali go, krępowali starannie i zanosili do suteren pałacowych, zamykając na klucz. Następnie weszli na schody; od chwili gdy się znajdowali w pałacu, upłynęło zaledwie dziesięć minut.

Na górnem piętrze Piero zastąpił im drogę, ze zwykłą swoją na pół zuchwałą, pół uniżoną miną. Skoro jednak przyjrzał się uważniej trzem przybyszom, cofnął się nagle w tył; zdawało się nawet, że instynktem zwierzęcym powodowany, rzuci się do ucieczki.

Nie zdążył jednak zemknąć, bo Maso skoczył jak tygrys i pochwycił go silnie.

— W sam raz cię mam, przyjacielu — odezwał się zimno Lupi, gdy tymczasem Bernhardone wiązał w tył ręce hultajowi. Nie będziemy go kneblowali, przyjaciele, bo prócz tego jednego, do którego w odwiedziny przychodzimy, w domu nie ma już nikogo, ktoby nadszedł na krzyk tego łotra.

Wydobył długi sztylet; wiedzieli wszyscy, że Maso doskonale umie władać bronią.

— Prowadź nas do swego pana!—zawołał.

— Mój pan w tej chwili niema czasu na rozmowy z obcymi — odezwał się Piero, próbując zadrwić bezwstydnie.

— A ha! można się tego było spodziewać! Zajęty jest sprawami inkwizycyi, nieprawdaż? Dalejże, do niego! — ton Masa zmienił się nagle w tak groźny rozkaz, że siny, zuchwały hultaj zadrżał z trwogi — albo, jak Bóg na niebie, zabiję cię tu na miejscu. W porównaniu z tem, co dziś na siebie wziąść myślę, śmierć takiego jak ty nicponia, nie zaciąży piórkiem na mojem sumieniu.

Zdawało się jednak, że Piero nie życzył sobie wcale nawet taką drobnostką obciążać sumienia mistrza Tommasa; dał do zrozumienia, że gotów jest być posłusznym i z wyciągniętą twarzą poszedł naprzód, a trzej inni tuż za nim. Droga, którą ich prowadził, długimi korytarzami, po schodach do góry i na dół, ciągnęła się bez końca, tak iż Vasarelli zatrzymał się nareszcie.

— Chyba łotr drwi z nas sobie — rzekł do Masa; kto go wie, gdzie nas prowadzi!

Piero odwrócił ku niemu głowę.

— Radzę wam w takim razie pozostać tutaj — rzekł po grubiańsku. Mój pan nie podziękuje wam pewnie za to odwiedziny.

Maso dał znak przyjacielowi, że należy być cierpliwym, zdawało się wreszcie, że są już u celu. U ciemnych drzwi drewnianych Piero się zatrzymał i rzekł:

— Dobrzebyście zrobili, gdybyście mi pozwolili pójść naprzód, żebym o waszych odwiedzinach — gwałtem powstrzymał inny wyraz, cisnący mu się na usta—oznajmił mojemu panu.

Nikt mu nie odpowiedział. U drzwi z zewnętrznej strony żadnej nie było klamki. Przy pomocy sztyletu, którego widok, po-

zanych posiadać klepki najzdrowsze? — przez ludzi, stojących na czele państw? — przez ludzi, co obliczają, kombinują i drogą pokoju zbrojnego prowadzą państwa do zguby finansowej? Pokój zbrojny jest wynalazkiem nowym, dającym gabinetom świadectwo nie nader zaszczytne. Wykazuje on zupełny brak zaufania do wszelkich traktatów, zobowiązań, podpisów, zaręczeń i porozumień najserdeczniejszych. Byłoby to jednak rzeczą wagi pomniejszej, gdyby utrzymywanie tego pokoju nie prowadziło za sobą dwóch następstw bardzo smutnych, ukazujących się w perspektywie nie nader odległej: bankructwa i wojny. Bankructwo nastąpić musi z tego powodu, że państwa wydają więcej, niżeli wydawać są w stanie. Z ołówkiem w ręku obliczyć można chwilę, w której to lub inne mocarstwo pierwszorzędne przyzna się wierzycielom swoim do niewypłacalności, a to skutkiem zbrojenia się, czyli łożenia na cele nieprodukcyjne: na budowanie twierdz, na wyrób oręża i zapasów wojennych, na utrzymywanie olbrzymiej armii stałej, lądowej i morskiej. Autor oblicza, że na wypadek wojny Niemcy wyprowadzić mogą w pole trzy miliony osiemset siedemdziesiąt jeden tysięcy wyrobionych i doskonale uzbrojonych wojowników, Rosya — dwa miliony pięćkroć sto tysięcy, Austrya — milion dwieście sześćdziesiąt pięć tysięcy. Czyni to blisko trzy tysiące batalionów piechoty, przeszło dwa tysiące szwadronów jazdy i tysiąc dwieście bateryj polowych. W głowie się mąci, przedstawiając sobie w wyobraźni taką wojska mnogość. Pan von der Golz, autor dzieła p. t. *Naród uzbrojony*, dla zobrazowania potęgi militarnej niemieckiej, powiada, że gdyby armia niemiecka cała maszerowała jedną drogą, w kolumnach ściśniętych, rota za rotą, działo za działem, furgon za furgonem, to rota ostatnia opuszczałaby Ejtkuny w chwili wkraczania pierwszej we wrota Moguncyi. Trakt wielki cały od granicy rosyjskiej do Renu okryty by był żołnierzami, działami i wozami. Na jaki cel służyć może zbrojność taka? Do obrony — tłomaczą mężowie stanu, a zatem spodziewają się napaści, przewidują wojnę. Mają racyę, wojna bowiem przedstawia się jako sposób jedyny do odwrócenia bankructwa. Gdyby, przypuśćmy, Niemcy pokonały kolejno mocarstwa wszystkie i przyprowadziły każde z osobna do niemocy ostatecznej, w razie takim wszystkie byłyby zmuszone rozbroić się i wówczas rozbroić by się mogły i Niemcy. *L' appétit vient en mangeant.* Wojna z Francyą (1870—71) dała im w tym względzie skazówkę praktyczną. Na wojnie zarabia się. Niemcy liczą na spodziewane stąd i zowąd — od Francyi dajmy na to — kontrybucye i dlatego ryzykują nakłady na zbrojenie się według skali coraz większej. Na toż samo liczy Francya. Tą drogą odbywają się wyścigi na rachunek podatkujących a przy pomocy pożyczek i niedoborów budżetowych, które iść nie mogą w nieskończoność. Gospodarka tego rodzaju, wycieńczająca narody, prowadzi do nieuniknionej katastrofy. Struna, zbytecznie naciągnięta i ustawicznie naciągana, pęknąć musi.

Perspektywę tę p.-pułkownik Hennebert wziął za treść książki, w której ze znajomością rzeczy rozpatrzył stan pogotowia wojennego, w jakiem obecnie znajdują się państwa europejskie. Stan ów, zdaniem autora, opiera się na twierdzach, zarówno przydatnych w wojnach obronnych i zaczepnych, w obronnych atoli stanowiących warunek *sine qua non* bezpieczeństwa. Dlatego winny być one zakładane i budowane wedle systemu pewnego, niezależnie od armii, przeznaczonej do działania w polu. Z tego powodu występuje przeciwko opinii tych, wedle których twierdza powinna być polem bitwy. Oświadcza się przeciwko systemowi obozów oszańcowanych a za warowniami, służącemi do zatrzymywania nieprzyjaciela i przeszkadzania jego pochodowi naprzód w głąb kraju. Warownie odpowiedzą zadaniu swemu, gdy zakładane będą na drogach, któremi wkraczająca armia nieprzyjacielska przechodzić musi i gdy same w sobie będą posiadały dostateczną do obrony siłę. Twierdza, ze względu na doniosłość artyleryi, mieć powinna trzynaście kilometrów średnicy, to jest, czterdzieści kilometrów obwodu i mieścić w sobie 25 do 30 tysięcy obrońców; w żadnym zaś razie służyć nie ma za schronienie dla cofającej się armii, jak to miało miejsce w roku 1870 w Metz, albo w 1877 w Plewnie. Armia w położeniu takiem przeznaczoną jest z góry na zatratę w razie, gdy jej w porę z pomocą odsiecz nie pospieszy.

Pominę jednak techniczną twierdz stronę. Wykład ten nie przedstawi dla czytelników *Prawdy* interesu. Zajmie ich atoli to z pracy pułkownika H. wyciągnięte spostrzeżenie, że całkowity system pogotowia wojennego w Europie grupuje się około Niemiec. Rzecz prosta, nie wchodzą tu kraje oddalone i innymi przedzielone, jak np.: Hiszpania i Portugalia, ani też takie, co, jak Turcya i państewka na półwyspie Bałkańskim, nie wiedzą jeszcze, którą żegnać się ręką. Autor nie pomija ich; pobieżność wszakże, z jaką o ich wartości militarnej mówi, świadczy, że wspomina o nich w sposób dodatkowy, opierając się przeważnie na państewkach, ciążących ku środkowej przez Niemcy zajmowanej pozycyi. Owóż wszystkie państwa te nie przeciwko komu innemu, jeno przeciwko Niemcom się zbroją, od Francyi zaczynając, na Rosyi kończąc. W ten sposób formuje się około cesarstwa berlińskiego półkole szańcami i działami najeżone. Belgia, za poradą Brialmonta, przysposobiła sobie schronisko w Antwerpii i umieściła się z góry pod skrzydłami Anglii, Holandya osłoniła się fortyfikacyami na linii Ijsel, w dolinie Gueldre, szczególnie zaś na tak zwanej „Nowej linii wód holenderskiej," idącej od Zuiderze do trzęsawisk Biesboch i Gertruidemberg, rozciągającej się na 84 kilom. długości, mogącej być zalaną na 5 — 10 kilometrów szerokości bronionionej przez czterdzieści cztery forty, najeżone liczbą poważną 1,900 dział. Dania zbroi się, jak może — jak jej na to szczupłe pozwalają dochody: poprawia fortyfikacye Kopenhagi i Fridericii, zamierza fortyfikować wyspy na bałtach i przysposobić sobie schrony, na wszelki przypadek, bądź na półwyspie Helgenoes, bądź na wyspie Vendsyssel, oddzielonej od lądu stałego fiordem Liim. Szwecya i Norwegia spuszczają się na nieprzystępność wybrzeży swoich, na których utrzymują stare obrony: Sztokholm, Karlskrona, Malmö Helsinborg, Friderikshall, Horten etc. Rosya...

Na Rosyę p. pułkownik, jako francuz, liczy, rozpoczyna bowiem opis obronnego jej systemu od *mea culpa*. „Jeżeli się nie mienią — słowa jego — „braćmi" naszymi, rosyanie są przynajmniej naszymi przyjaciółmi. Sympatyę ich posiadamy i od czasu panowania Elżbiety — córki Piotra Wielkiego — ci „francuzi północni" nieraz nam rękę podawali. Jakżeśmy kroki te przyjmowali? Jakżeśmy odpowiadali na propozycye sojuszu z góry wskazywanego? Mówiąc tylko o wypadkach togowiecznych, sprawiliśmy rok 1812, sprawiliśmy wojnę krymską! Co za błędy!"

---

mimo wściekłości i gniewu, miotającego Pierem, znowu dopomógł do rozwiązania mu języka, wskazał Piero, gdzie miał klucz przy sobie schowany. Maso wyjął go i drzwi otworzył. Następnie zwrócił się do towarzyszów, aby trzymając tu straż, pilne mieli oko na Piera.

— Ze sługusem dam sobie sam radę — rzekł poczciwy Bernhardone. Czy byś nie wziął z sobą Sandra? Zawsze we dwóch lepiej.

— Nie, bracie, z jego eminencyą muszę się rozmówić na cztery oczy — odrzekł Maso z ponurym uśmiechem, a przytem, tu podniosła się szeroka pierś jego, sądzę, że na niego dość będzie mnie.

Z temi słowy wszedł przeze drzwi i zamknął je. Klucz zabrał z sobą, tak że pozostali za drzwiami nie mieli sposobu wejść, chyba żeby im ze środka otworzono.

Obaj towarzysze Masa natychmiast zwrócili na to uwagę, a razem nie uszedł ich oka uśmiech Piera, nienawiścią tchnący. Porozumieli się spojrzeniem.

— Pamiętaj sobie, przyjacielu — odezwał się Vasarelli do Piera — że jeśli tam jaka dyabelska zajdzie sprawa, my ci jej tu nie darujemy.

— Za wielki dla mnie zaszczyt — rzekł Piero.

— Zaprzestań zatem drwin — mówił dalej pierwszy, nie zważając na te słowa, i zmów lepiej Ojcze nasz, jeśliś na bogobojnej służbie jego eminencyi nie zapomniał się modlić. Skoro tylko dojdzie nas stamtąd jeden dźwięk głosu Masa, który nam się nie podoba, wtedy — zrobił bardzo wyraźny ruch sztyletem.

Piero nie potrafiłby zmilczeć komukolwiek.

— Róbcie, co się wam podoba — rzekł. Przynajmniej wyruszę w podróż w dobrem towarzystwie.

* * *

Stara Orsola Benincasa, wyszedłszy owego rana z mieszkania, udała się wprost do pałacu kardynała Riario, który dobrze jej był znanym. Skoro weszła do sieni, odźwiernego Jacopo, który zwykle odprawiał z kwitkiem takie biedactwa, nie było właśnie u drzwi. Stara, wyglądająca zawsze wstrętnie, z odrażającą twarzą i wiecznem mruczeniem, teraz, po bezsennej nocy, spędzonej z trwogą, w łachmanach, z rozczochranymi, siwymi włosami, i błędnym wzrokiem, była rzeczywiście przerażającą. Jeden po drugim, z liczby włóczących się bez zajęcia po pałacu służalców, wymijał ją, ciskając jakiś żart złośliwy lub dwuznaczny, jakby z pokojów dowcipnego kardynała wiał duch lekkomyślności i zepsucia i napełniał wszystkie kąty pałacu, gdyż w całej Florencyi nie było równie niepowściągliwych języków, podobnie rozwiązłych łotrów, jak domownicy jego eminencyi.

Żądanie starej, aby ją jak najprędzej wpuszczono do kardynała, które powtarzała ze zwiększającym się przestrachem i naleganiem, pobudzało do nowych, zuchwałych żartów. Hałas i śmiechy wywołały Piera z górnego piętra.

— Patrzcie no, Piero, jaka tu przyszła na schadzkę ślicznotka młoda! — zawołał jeden.

— Ach, cicho bądź i daj mu pokój — szepnął drugi; odkąd zdechł jego obrzydliwy kundel, jeszcze ust nie otworzył.

W tej samej chwili przerażony wzrok starej padł na Piera. Ten już podniósł rękę w milczeniu na znak, aby ją za drzwi wyrzucono, gdy uczuł, jak jej kościste palce, do ptasich szponów podobne, wpiły się w jego ramię, a do ucha szepnął mu schrypnięty, drżący głos:

— Człowieku, poznaję cię; przed dwudziestu laty już załatwiałeś szatańskie zlecenia swego pana.

Dodała coś jeszcze; gdy Piero stanął jak skamieniały, potrząsnęła nim gwałtownie, a ku niemałemu zdumieniu służby, wcale jej nie odepchnął.

— Nie trać czasu — usłyszano ją mówiącą półgłosem; przysięgam, że cię twój pan udusi, skoro z twojej winy się spóźnię.

Dawniej my posiadaliśmy ten zaszczyt, że mianowano nas „francuzami północnymi.“ Dziś zaszczyt ten przenoszą na rosyan; przenoszą go także i na japończyków. Kto wie, ażali on jutro nie dostanie się chińczykom. Ze słabości, polegającej na uważaniu siebie za naród wybrany, francuzi nie uleczyli się i chyba nie uleczą się nigdy. Zaznaczmy to jako słabość i rzućmy okiem na skreślony przez p. H. system obronny niemiecki.

Odznacza się on tą szczególnością, że jest przeważnie zaczepnym, a przytem w dwie przeciwne zwróconym strony: przeciwko Francyi i przeciwko Rosyi. Warownie, jakie Niemcy na wschodniej i zachodniej granicy swojej wznieśli, są to twierdze w zwyczajnem wyrazu tego znaczeniu i zarazem punkty zborne, ułatwiające koncentracyę armij, mających iść naprzód. Czem tu jest Metz z Thionvillem i Sarrlouis i Strasburg, tem wzdłuż granicy rosyjskiej Poznań, Toruń i Królewiec, ku którym zbiegają się prostopadle i równolegle prowadzone siecie dróg żelaznych. Nic podobnego niema na granicy austryackiej. Od strony Czech, Morawii i Galicyi Prusy nie osłoniły się żadną warownią poważną. Glatz i Neisse pozostają w tym stanie, w jakim były przed laty. Nie jest to bez znaczenia, albowiem przypuszczać nie można, ażeby sztab główny berliński o zabezpieczeniu się od Austryi zapomniał. Co się zaś tyczy pogotowia wojennego niemieckiego w znaczeniu ogólnem, posłuchajmy, co o tem mówi człowiek kompetentny, baron von der Goltz. „Przedewszystkiem—słowa jego—potrzeba, ażebyśmy zrozumieli i ażeby zrozumiało pokolenie, które wychowujemy, że przepowiednia o walce ostatecznej, dla zapewnienia bytu i wielkości Niemiec, nie jest to zrodzona w głowach ambitnych chimera, lecz walka ta nastąpi kiedyś, gwałtowna i poważna, jaką jest wszelka walka, rozstrzygająca pomiędzy narodami, z których jeden chce stanowczo uznania przewagi swojej nad innymi.“ *T. T. Jeż.*

HENRYK SIENKIEWICZ
(LITWOS).

V.

Bez obawy popełnienia przesady, rzec można, że w literaturze naszej, nie wyłączając nawet jej dzieł najgenialniejszych, żaden utwór polski nie był natychmiast po wyjściu przedmiotem równie licznych i krzykliwych uniesień, żaden nie rozbiegł się prędzej po rozmaitych warstwach społeczeństwa, żaden nie wzbudził współcześnie z narodzinami swemi tyle zajęcia, żadnego nie obnoszono z takim tryumfem w dziennikach, jak *Ogniem i mieczem.* Mickiewicz po napisaniu *Pana Tadeusza* byłby się zadowolił dziesiątą częścią tej sławy, którą Sienkiewiczowi wypłacono odrazu, a raczej zdyskontowano tak łaskawie, że mu z niej trzeźwiejsza krytyka kiedyś znaczną przewyżkę strąci. Jeszcze druk powieści nie był ukończony, a już w warszawskich i zagranicznych pismach polskich łajano prasę za „obojętność“ względem tego „arcydzieła;“ zaledwie wyszła w świat, rzucono się do rysowania i malowania jej scen, przedstawiano z niej żywe obrazy w teatrze i cyrku, odbito wizerunek autora w ilustracyach, pomieszczono go między portretami znakomitości europejskich, podobno chrzczono imionami jego bohaterów dzieci i podawano zbiorową prośbę, ażeby w zakończeniu nad sympatycznemi postaciami się zmiłował. Nawet organa specyalne (*Gazeta rolnicza*) przekroczyły wyjątkowo swe granice i zamieszczały entuzyastyczne recenzye lub wzmianki. Oprócz dwu równoległych druków w *Słowie* i *Czasie*, wydano w czterech tomach *Ogniem i mieczem* osobno, a wkrótce ma wyjść edycya czwarta. Autor otrzymał niebywałe u nas honoraryum, bo podobno sięgające 8000 rs. Ledwie obeschła na książce farba drukarska, hr. Tarnowski uczcił Sienkiewicza osobnym odczytem, w którym porównał go z Homerem, Dantem, Shakespearem, Mickiewiczem itd. Przypatrzmy się temu cudowi świata.

Młody rycerz Skrzetuski, wysłany przez Wiśniowieckiego do chana, w powrocie znajduje na stepie w nocy człowieka, uduszonego prawie przez jakąś tajemniczą drużynę arkanem. Uwalnia go a przy pożegnaniu dowiaduje się, że to był Chmielnicki. Ciągnąc dalej, spotyka dwie kobiety, biadające nad złamaną osią kolasy: starsza księżna rusińska Kurcewiczowa, młodsza—jej kuzynka Helena, która odrazu oczarowywa Skrzetuskiego. Kocha ją wszakże dziko, namiętnie Bohun, słynny choć młody wódz kozacki, który nadjechawszy z synami Kurcewiczowej i spostrzegłszy zaloty „lacha,“ naciera na niego ostro. Ale uśmierza go „kniahinia“ i zaprasza polskiego rycerza z orszakiem do swego dworu. Tu Skrzetuski pozyskuje wzajemność Heleny, a objaśniony, że majątek do niej właściwie należy, a stara przywłaszczyła go sobie i popiera Bohuna, który nie będzie żądał żadnego ze spuścizny rachunku, oświadcza się o rękę uroczej dziewicy i groźbami a wreszcie obietnicą niedochodzenia jej krzywdy otrzymuje zgodę Kurcewiczowej. Odtąd między dwoma rywalami rozpoczyna się długa i zacięta walka, przeplatająca pasmo wojennych bojów a nieraz wybiegająca na pierwszy plan powieści. Zaledwie Skrzetuski stanął przed księciem, zostaje znowu przezeń wysłany do atamana koszowego z listem, a właściwie na zwiady. Kozactwo wszakże wyrąbało towarzyszów a jego wzięło w niewolę. Chmielnicki, pamiętny usługi, wypuszcza rycerza. Tymczasem wojsko polskie rozbito przy Żołtych Wodach i pod Korsuniem, a gdy Skrzetuski przyjeżdża do kniaziówny, zastaje dwór zburzony. Zemścił się Bohun, który przejąwszy jego listy, napadł z oddziałem i wymordował Kurcewiczów. Sam wszakże ranny, nie uniósł Heleny, która uciekła z jego przypadkowym towarzyszem, starym pijakiem i tchórzem Zagłobą. Ten przebrany za dziada tułał się z nią długo śród szeroko rozlanego i wzburzonego kozactwa, aż wreszcie umieścił w Barze. Lecz i Bar został zdobyty, po klęsce pod Piławcami Chmielnicki z Tuhay-bejem opanowali cały południo-wschód Rzeczypospolitej, a Bohun, odzyskawszy Helenę, mógł ją bezpiecznie umieścić w odludnym jarze pod opieką czarownicy. Wysłany z listem od Chmielnickiego do nowoobranego króla, Jana Kazimierza, spotyka się z przyjacielem Skrzetuskiego, dzielnym rębaczem, Wołodyjowskim, który w pojedynku ciężko go rani. Chory kozak powierza tajemnicę miejsca pobytu kniaziówny przebiegłemu i doglądającemu go Rzędzianowi, który był wiernym sługą Skrzetuskiego i który uwiadomił jego towarzyszów. Ci śród największych niebezpieczeństw dotarli do jaru i wydobyli uwięzioną, dążąc do Zbaraża, gdzie pod wodzą Wiśniowieckiego okopało się wojsko polskie. Ale gromadka śmiałych rycerzy, napadnięta przez nieprzyjaciela, rozbiła się: Rzędzian z Heleną przepadł w lesie, Zagłoba i Wołodyjowski dotarli do obozu. Oblegała go straszna chmura kozaków i tatarów, którzy z wściekłością jak ocean daremnie rzucali się na mężnie bronione

---

I Piero się zawrócił, dał znak starej, a ona poszła za nim wprost do apartamentów kardynała. Piero nawet jej nie zameldował. Prawdopodobnie łotr nasycał się w dnszy wyniosłem spojrzeniem, jakiem pan jego, dumny Feo Riario od stóp do głowy zmierzy starą, przygotowując się do tego, że prędko to spojrzenie zmieni się zupełnie.

— Kobieta ma jakiś niezmiernej wagi interes do waszej eminencyi — odrzekł tylko na ostre, niecierpliwe pytanie pana, potem wysunął się za drzwi.

Zaledwie jednak upłynęło chwil kilka, gdy go napowrót przywołał znany odgłos dzwonka. Kardynał chodził po pokoju, jakby nic nie zaszło, Piero jednak, doskonale znający swego pana, dostrzegł na jego twarzy ślady tak silnego wzruszenia, jakie mu się rzadko widzieć zdarzało.

Stara zgarbiona siedziała na jednem ze wspaniałych krzeseł.

— Było to moje jedyne dziecko, panie — mówiła — jedyne, jakie na świat wydałam. Była słodką i pobożną, sami wiecie. Przyszliście do nas jak uczciwy człowiek, w ciemnym stroju, nie znać na was było buty pańskiej. Miałam was za ubogiego pisarza; ona mówiła: matko, to uczony, trudno pojąć, jak on wiele umie... a z pewnością uczciwe ma zamiary. Łatwo ją było oszukać, panie, było to proste i pobożne dziecko — Gelsomina o wiele mądrzejsza— jakżeby przypuścić mogła, że wasz strój to maskarada, i że byliście kapłanem naszego kościoła?

— Nie byłem nim jeszcze wówczas, Bóg mi świadkiem — żadnych wtedy nie miałem święceń — rzekł Riario.

— Nie byliście wówczas księdzem, a w rok później już kardynałem? — rzuciła z niedowierzaniem stara.

Riario potwierdził skinieniem głowy.

— Gdym poznał waszą córkę, mogłem się jeszcze wtedy ożenić. A niebem się świadczę — po tylu latach jego eminencya mógł się łatwo zdobyć na taką wspaniałomyślność względem uwiedzionej — że dziewczynę nie wstyd by było wprowadzić jako panią do żadnego pałacu. Dopiero nieco później nastąpiła zmiana w moim losie.

— I tak na urojenie marne poszło całe jej życie.

Stara z groźbą się zerwała a głos jej rozległ się donośnie, bez względu na pozory przyzwoitości po wspaniałej komnacie. Lecz wkrótce przycichła znowu; siły jej się wyczerpały, a poczucie dawno doznanej krzywdy nie mogło jej pobudzić do nowych uniesień i przekleństw.

— Nie powiedzieliście mi jeszcze wszystkiego — zaczął kardynał głosem łagodniejszym.

— Więc, skoroście ją opuścili, dręczyła się i wstydziła i nie chciała już wychodzić na świat boży. Urodziło się dziecię, a wnet potem dowiedzieliśmy się o waszym stanie. Już wtedy nie było rady; nikt jej utrzymać nie zdołał; porzuciła mnie i biednego robaczka w nędzy, a sama poszła do klasztoru pokutować za grzech ciężki, popełniony bezwiednie, że się oddała kapłanowi kościoła świętego.

— Gdzie się udała?

— Do Urszulinek w Sesto. Od dziesięciu lat jednak znajduje się w Zgromadzeniu świętej Anny, w Rignano, o dziesięć mil od Porta Romana.

W tej samej chwili spojrzenie kardynała padło na Piera.

— No, czegóż stoisz tu jeszcze? — zawołał na sługę. Parę koni natychmiast, od bocznej bramy, a potem przyjdziesz tu i pomożesz mi się ubrać!

Następnie eminencya wydał rozkaz, aby starej dostarczono jadła i napoju, lecz zatrzymano ją i strzeżono w ustronnym pokoju pałacu, dokąd ją natychmiast zaprowadzić kazał. Kobieta obojętnie przyjęła wyrok uwięzienia.

— Nie dowierza mi — mruknęła, nie troszcząc się obecnością służącego, który ją odprowadzał do wskazanego miejsca. Nie wierzy mi, bo sam jest hultajem.

(D. n.).

szańce. Nareszcie, gdy głód dokuczać zaczął, postanowiono wysłać kogoś z uwiadomieniem i prośbą o ratunek do króla. Naprzód podjął się tego niebezpiecznego poselstwa Podbipięta, rycerz strasznej ręki, który ślubował czystość, dopóki odrazu trzech głów nieprzyjacielskich nie zetnie i dzieła tego przy jednym szturmie już dokonał; ale złapany podczas przesuwania się między placówkami oblegających poległ. Wtedy poświęcił się Skrzetuski, który, płynąc i brodząc, dostał się szczęśliwie do obozu królewskiego, gdzie znalazł Helenę. Resztę dziejów wojennych, zakończonych bitwą pod Beresteczkiem, autor króciutko dopowiedział.

Treść tej powieści możnaby przedstawić całkiem inaczej, mianowicie: usunąwszy na drugi plan romans, uwydatnić obrazy wojenne, które ją wypełniają przeważnie. Wybrałem sposób powyższy dlatego, że on tworzy w niej ciąg i że romans właściwie stanowi pierwiastek główny oraz ma swoich istotnych bohaterów. Główna postać, Skrzetuski, wprawdzie rąbie się ustawicznie, ale o ile myśli i czuje, jest tylko kochankiem. Bohun—również. Tchórz i pijak Zagłoba pod wpływem kniaziówny staje się walecznym i zacnym rycerzem. Wołodywojski, rębacz z natury, mniej pamięta o Rzeczypospolitej, niż o bogdance swego przyjaciela, dla której w najkrytyczniejszych chwilach opuszcza szeregi. Czwarty muszkieter, Podbipięta, chociaż porusza się jak poświęcana gilotyna, również marzy o swej Anusi. Nawet książę Wiśniowiecki trapi się losem ideału swego namiestnika i robi dlań pewne ustępstwa, nie mówiąc o Rzędzianie i innych.

Już dawniej w *Niewoli tatarskiej*, będącej urywkiem pamiętnika, probował Sienkiewicz sił swoich jako powieściopisarz historyczny: obrazek ten wszakże, oprócz szczęśliwych miejscami naśladowań języka staropolskiego, ubogo szpikowanego elementarną łaciną, nie posiada innej wartości. Dopiero *Ogniem i mieczem* stanowi pracę w tym kierunku poważną. Nazwano ją *epopeją*. Nazwa ta bywa u nas często używaną jako rodzaj literackiego komplimentu lub też jako odbicie pragnień krytyków szablonowych, którzy głęboko zmartwieni tem, że literatura nasza nie stworzyła epopei a zdobyć się na nią może, przyznają ów tytuł, bodaj na czas pewien, rozmaitym utworom: to *Wojnie chocimskiej* Potockiego, to *Panu Tadeuszowi*, to *Listopadowi*. Tarnowski uczcił tą bezmyślną ozdobą *Ogniem i mieczem*. Pomijając zabijający wszelkie nadzieje wzgląd, że epopeja jest formą przywiązaną do pewnych warunków cywilizacyjnych i w czasach nowszych nigdzie się nie narodziła, a obecnie powstać może chyba w Azyi lub w Afryce—gdzie jej zasadnicze, nawet pozorne cechy są w powieści Sienkiewicza? Miałażby kniaziówna być piękną Heleną, Zagłoba — Ulisesem, Wiśniowiecki — Achillem... ale nie róbmy takich dziecinnych porównań i bez żadnych gwałtów dla logiki zastanówmy się po prostu nad powieścią historyczną.

Taine, wobec znakomitych utworów Flauberta, miał odwagę wypowiedzieć słuszne zdanie, że tak zwana historyczność powieściowa jest prostem kłamstwem. Rzeczywiście, z odległości kilku lub kilkunastu wieków żaden pisarz życia wiernie nie odtworzy, chociaż jeden schwyci jego znamion więcej, drugi mniej. Można uczesać głowę *à la* Pompadour, ale myśleć, czuć, mówić, działać jak Pompadour dziś — trudno *). To też niepotrzeba być Szajnochą, ażeby na każdej stronicy *Ogniem i mieczem*, w każdej postaci wykazać fałsz dziejowy. Widzimy zapisane w kronikach nazwiska, słyszymy język trącący myszką i nadziany z lekka łaciną, podziwiamy znajomość archeologii wojennej—oto wszystko. Ale to nam zupełnie wystarcza, dopóki powieściopisarz dopełnia historyę, a nie przerabia jej. Sienkiewicz przerabia ją wielokrotnie i to nie dla celów artystycznych, lecz stronniczych. Dość wyjąć z jego utworu i porównać zsobą dwie postacie Wiśniowieckiego i Chmielnickiego. O pierwszym słyszymy same nadzwyczajności. Autor stale nazywa go „groźnym lwem,“ na którego imię drży i umiera ze strachu całe zbuntowane kozactwo. Okrzyk: „Jarema idzie“ działa z równą siłą, jak: „Hanibal ante portas.“ Zdaje się, że gdy ten „groźny lew“ wyruszy ze swego legowiska, w którem go krótkowidząca i niedołężna Rzeczpospolita trzyma, gdy mu powierzą główne dowództwo, on jak Aleksander W., jak Hanibal, jak Napoleon kilkoma pochodami rozgromi nieprzyjaciela i z jego ciał wyprawi ucztę krukom. Tymczasem ów straszny okrzyk brzmi, tytan wyrusza i oprócz kilku drobnych bitew oraz wytrwałej obrony Zbaraża niczem nie usprawiedliwia pokładanych w nim przez autora i czytelników nadziei. Nie podziwiam nawet jego bezczynności jako dobrowolnej ofiary, ażeby samowolnem wystąpieniem nie dawać złego przykładu, gdyż wiadomo z historyi, że Wiśniowiecki do takich poświęceń nie był zdolny. Jest to więc figura papierowa, wyniesiona tendencyjnie na piedestał, na którym ukazuje tylko wielkie bogactwa i wielkie pretensye. Natomiast jakże przy nim wygląda Chmielnicki w oświetleniu Sienkiewicza? Awanturnik, popchnięty do buntu prywatą, dziki i łakomy rabuś, „bicz boży,“ płaszczący się aż do spodlenia przed swym sprzymierzeńcem Tuhay-bejem, chociaż przecie „nosił w sobie straszliwą siłę całego Zaporoża,“ nadewszystko zaś nieodczepiająca się nigdy od gąsiora z wódką pijawka. Z ostatniego nałogu autor po części a dość naiwnie go rozgrzesza. Przypuszcza, że hetman zaporoski pił z... „desperacyi.“ Gdy mu Skrzetuski palnął kazanie, „Chmielnicki utkwił ponuro oczy we flaszkę z wódką, zacisnęte pięście na stole położył i milczał, *jak by się sam z sobą pasował.*“ To też Sienkiewicz nie zastanawia się nad jego słowami, które mu same w usta kładzie: „Piekłem mnie straszysz, o prywatę i zdradę mnie pomawiasz, a skądże wiesz, jeśli (?) własne tylko krzywdy mścić idę? Gdzież to bym znalazł pomocników, gdzie owe tysiące, które się już za mną opowiedziały i opowiedzą, *gdybym jeno własnych ucisków chciał dochodzić?*... Król—miłościwy pan, ale królewięta! Z nimi nam nie żyć; ich to zdzierstwa, ich to arendy, stawszczyzny, pojomszczyzny, suchomielszczyzny, oczkowe i rogowe, ich to tyrania i uciski do nieba o zemstę wołają!.. Gdzie przywileje kozackie? Król dał, królewięta odjęli. Nalewajko poćwiertowan, Pawluk w miedzianym wole spalon“ itd. A gdy wylał z siebie ten potok żalu — powiada autor — „ręce ku górze wyciągnął i zdawał się płonąć cały, jak wielka *pochodnia zemsty*, i drżeć począł, a potem padł na ławę, jakby ciężarem swych *przeznaczeń* przygnieciony.“

Czyż podobna, ażeby wtedy i później paliła się w nim tylko prywata, oblana wódką? Czytelnik powieści *Ogniem i mieczem* gotów temu wierzyć, gdyż jej autor, prócz miłości w sercu Bohuna, żadnego szlachetniejszego uczucia w zwierzęcej duszy kozackiej nie odnalazł. Zapewne skutkiem „niezbadanych wyroków opatrzności,“ podczas gdy ów straszny „Jarema,“ gromiący samem swem imieniem, tylko pozuje na bohatera, pijak Chmielnicki odnosi krwawe tryumfy przy Żółtych Wodach, pod Korsuniem i Piławcami, których pamięci — niestety — nie zetrze najmocniej wyprężona tendencya Sienkiewicza. Jeżeli on istotnie miał przypisywany mu przez pisma konserwatywne zamiar postawienia w apoteozie szlachty polskiej, to istotnie nie mógł wybrać w naszych dziejach chwili gorszej nad wojny kozackie. Wtedy bowiem Polska straciła energię i ład, nie miała ani jednego wielkiego bohatera, a jej rycerstwo w swych ciężkich trudach i zapasach nie widziało żadnej wyższej idei, która z barbarzyńską oprawą, ale ostatecznie świeciła kozactwu — idea walki za niepodległość i swobodę. (D. n.)

A. S.

*) Podrabianie barw epoki często wprost śmiech budzi. Tak np. gdy czytamy, że „wojnę zwiastowały znaki na niebie“ i gdy pomyślimy, że to pisze Sienkiewicz w r. 1884 o r. 1647 lub 8 — widzimy całe udanie zabobonnej wiary.

Z Czerwonej Rusi.

Lwów, 26 lipca.

Jubileusz bł. jana z Dukli, głosy o nim rusinów i lwowskich polaków-demokratów. — Postępy religijności i ruiny ekonomicznej między ludem polskim w Galicyi.—Statystyka wyborów sejmowych z r. 1876 a 1883 i statystyka większych posiadłości, znajdujących się w rękach żydowskich. — „Reactionäres aus Galizien“ i spółka szlachty z żydami.—Zaburzenia antichrześciańskie w Borysławiu. — Wycieczka młodzieży rusińskiej.

Pod dewizą siedemnastu wskrzeszeń, kilkudziesięciu cudownych uzdrowień i trzech cudownych ocaleń Lwowa od oblężenia odbył się u nas jubileusz błog. Jana z Dukli, z inicyatywy zakonu Bernardynów a przy współudziale naszych władz municypalnych i autonomicznych. Nie wiem, z jakiem czołem pod tą dewizą podpisywali swoje imiona profesorowie uniwersytetu, z d-rem Radziszewskim, profesorem chemii, na czele, i z jakiem sumieniem mogli brać udział w wysławianiu tych cudów ludzie poważni i myślący, którzy winni przecież wiedzieć, że protokoły cudów, spisane i podpisane wobec władz miejskich w XV lub XVI wieku mogą być dostatecznymi (przy złożeniu odpowiedniej i to zwykle ogromnej taksy) dla beatyfikowania tego lub owego pobożnego pustelnika, lecz nie są dostatecznymi do obalenia praw przyrody. Tem mniej, zdaniem mojem, nadawały się do uwielbień owe cudowne zjawiska podczas oblężeń Lwowa, których na nieszczęście nikt jakoś nie widział, oprócz dwóch podejrzanej wiarygodności rycerzy. Najmniej jednak nadawało się imię tego „błogosławionego,“ by zeń zrobić patrona, tj. jakiegoś narodowego bohatera. Nic dziw więc, że gdy uroczystość jubileuszowa przybrała charakter wyraźnie polityczny, gdy magistrat nakazał iluminacyę domów (która, nawiasem mówiąc, zrobiła zupełne fiasko), a nasze najwyższe sfery wyprawiły sobie przy tej sposobności ucztę z mówkami, rusini podnieśli głos, protestując przeciw temu narzuconemu im ni stąd ni zowąd patronatowi. „Może sobie Jan z Dukli być patronem polaków, polskiego narodu — mówili oni — lecz robić go patronem polskiej idei państwowej i anektować w jego imieniu dla niej te kraje i narody, dla których rzeczywistego zjednania nic dotychczas nie zrobiliście, to jest poprostu nietakt polityczny, to jest drażnienie politycznych i narodowych tradycyj w tym właśnie punkcie, którego powinniście wcale nie dotykać. Czyż myślicie, że przeklinanie i ohydzenie kozaczczyzny, mieszanie z błotem Chmielnickiego dla tem większej chwały Jana z Dukli zadowoli patryotyczne uczucia oświeceńszych z pomiędzy rusinów?“

Mimo to jednak artykuły *Diła*, oceniające w tym duchu owo niby to krajowe święto, wywołały wielkie oburzenie nietylko pośród ultramontanów i zwolenników wszelkich odcieni jezuityzmu, lecz nawet i pośród nielicznych „demokratów“ tutejszych. Z zajadłością, wcale niedyktowaną przez rozum, wystąpił jeden z organów tego obozu w najnowszym numerze

przeciw „dzisiejszym filozofom i doktrynerom, tym ideałom obskubanych kogutów, świecącym wstrętną nagością ducha.“

„Powiedz mi, jakie są twoje ideały, a ja ci powiem, kto jesteś.“ Ideałem polskiego narodu, wedle waszego zdania, panowie demokraci lwowscy, jest zakonnik, bernardyn, pustelnik, który całe życie przepędził w zaciszu, zdala od świata, w świętem próżniactwie, i to właśnie w czasach wielkiego społecznego przełomu, kiedy to na gruzach dawnych słowiańskich, samodzielnych i wolnych gmin wzrastała i potężniała „złota samowola“ szlachecka i kiedy ów święty najsnadniej mógł był zasłużyć sobie wieczną wdzięczność ludu polskiego a nawet ruskiego, gdyby był, idąc śladem Chrystusa, stał się apostołem wolności włościan, równości wszystkich ludzi wobec Boga. Wskażcie nam jakąkolwiek żywą ideę w jego życiu, słowach i czynach, cośkolwiekbądź takiego, czem imię jego za życia byłoby zapisanem w księdze zasług waszego narodu. Lecz podnosić na piedestał ideału narodowego ascetę, pustelnika, o którego zasługach i ideałach społecznych nikt niczego nie wie, którego imię w umysłach ludu może rozpalić tylko pobożność posuniętą do bigoteryi, zabobonność oczekującą cudów, to jest, zdaniem mojem, niebezpieczna droga, to jest woda na młyn tych pobożnisiów *par excellence*, którzy tą drogą szerzą ciemnotę — jezuitów. Zastanówcie się też, panowie demokraci, nad tym faktem, że u was nie może ani powstać, ani utrzymać się pismo lub wydawnictwo dla ludu, które nie stoi pod protektoratem księży lub szlachty, t. j. w którem by oświata i nauka nie były najokropniej przekręcane i kaleczone dla dogodzenia kastowym interesom jednego lub drugiego z tych uprzywilejowanych stanów. Spojrzyjcie na to, że podczas gdy wasze „społeczeństwo“ w Galicyi nie może wyżywić ani jednego literacko-naukowego organu z tendencyą postępową, lud wasz rozchwytuje jezuickie *Misye serca Jezusowego* i *Intencye* co miesiąc w olbrzymim nakładzie 120.000 egzemplarzy! A przecież wy wiecie, jakie okropności logiczne i naukowe drukują się w tych pobożnych wydawnictwach? I czyż myślicie, że lud wasz, karmiony od pół wieku wyłącznie tylko taką strawą umysłową i przez was samych ustawicznie popychany w objęcia Kościoła, „tego jedynego przytułku i krynicy zdrowiodajnej,“ wyrośnie zdrów i wolny, myślący i rozumny? I jeszcze cieszycie się, kiedy ten lud, oszołomiony nadziemską mądrością misyj jezuickich, dziesiątkami tysięcy spieszy na uroczystości w rodzaju koronacyi Matki Boskiej na Piasku (patrz przedostatni nr. *Kraju*), lub 400-letniej rocznicy bł. Jana z Dukli!...

Darujcie, że zamiast sprawozdania znowu wygłosiłem kazanie, lecz nie dziw; ostatnimi czasy o uszy przeciętnego lwowianina tyle obiło się kazań, że mimowoli każdy musi wpadać w tenże ton. Tem więcej tutaj, gdzie sprawa jest iście bolesna, gdzie żal demokracie-rusinowi widzieć demokratów-polaków na tak mylnej drodze i wiedzieć przy tem, na jakie manowce ta droga zaprowadzić musi. Rozumie się, nie jesteśmy przeciwnikami religijności w ludzie, lecz czyż to dlatego wy nosicie miano demokratów, byście głosili mu tę religijność? Przecież do tej roboty są inni, specyalnie najęci, im więc ją pozostawcie, a sami zwróćcie swe oczy na inne strony życia, podnieście swój głos i pokażcie swe czyny w takich sprawach, w którychby rzeczywiście mógł pokazać się całemu światu wasz demokratyzm! Oto weźcie do rąk chociażby najnowszy zeszyt *Wiadomości statystycznych o stosunkach krajowych*, wydanych przez biuro statystyczne przy wydziale krajowym, i zastanówcie się bliżej nad tą nauczką, jaką wam dają nagromadzone tam cyfry.

Między innemi mieści się tam statystyka wyborów sejmowych z r. 1876 i 1883, która rzuca bardzo jaskrawe światło na rozwój stosunków ekonomicznych ludu wiejskiego, a to w następujący sposób. Wybory do sejmu z wiejskich okręgów są, jak wiadomo, pośrednie. Gminy przedstawiają wyborców, a dopiero ci posłów. Jeden wyborca w gminie wypada na 500 mieszkańców. Nie wszyscy jednakże obywatele gminy mogą brać udział w elekcyi wyborców, t.j. być, wedle tutejszej terminologii, prawyborcami, a mogą być nimi tylko dwie trzecie części najwyżej opodatkowanych włościan. *Census* ten jest stały i oznaczony w regulaminie do wyborów zwierzchności gminnej, tak, że kmieć, który zubożeje i płaci podatek mniejszy od przepisanego dla pojedynczych kół, traci prawo głosu.

Otóż statystyka wykazuje, że w Galicyi od r. 1876 do 1883 w 20 z pomiędzy 74 okręgów wyborczych ubyło 6,222 prawyborców na 508,617. Z tych 20 podupadłych okręgów 12 przypada na Galicyę zachodnią, a 8 na daleko większą wschodnią. Z tych 6,222 podupadłych włościan, którzy utracili prawo głosu, 4,935 przypada na zachodnie, a natomiast tylko 1.287 na wschodnie okręgi. Z pomiędzy zachodnich najsmutniejszy obraz przedstawia Dąbrowa-Żabno, gdzie 1876 r. było 6.684, a 1883 tylko 5.575, tj. o 1,109 lub 16,5% mniej prawyborców! Lecz nie dość na tem. W innych 53 okręgach liczba prawyborców w tych 6 latach powiększyła się i to o sumę 35,528. We wschodnich—takich podnoszących się okręgów jest 37, w zachodnich 16, i jeżeliby nawet przyrost prawyborców był wszędzie równomierny, to na wschodnie okręgi przypadałaby suma przyrostu 24,808, a na zachodnie 10.270, t. j. w zachodnich okręgach przyrost pokryłby ubytek zaledwie dwa razy, a we wschodnich około 20 razy. Nie dziw więc, że *Diło*, z którego opracowania wyjmujemy powyższe obliczenia, woła: „Czyż te przerażające cyfry nie powinnyby dla naszych polaków, dla naszej „hierarchii społecznej“ stać się głośnem *memento*, żeby porzuciwszy już raz nieszczęsne eksperimenty na ruskiej ziemi i nad ruskim narodem, wzięli się z zakasanymi rękawami do ratowania swego własnego ludu, który przy takim postępie zubożenia za jakich 30 lat zupełnie będzie wykreślony z rzędu narodów, mających w państwie austryackiem swoją krajową reprezentacyę!“

Niestety, zubożenie polskiego ludu bardzo mało obchodzi tutejszych polaków, a cyfry powyższe zupełnie uszły ich uwagi. Natomiast więcej wrzawy narobiły wykazy większych posiadłości, nabytych bądź to na własność, bądź też wziętych w dzierżawę przez żydów. Kilka takich wykazów z niektórych wschodnich powiatów wydrukowało *Diło*, skąd je zaraz z okrzykami zgrozy powtórzyły inne dzienniki polskie i ruskie. Wreszcie *Dziennik polski*, resumując te wykazy, napisał wstępny artykuł pod dewizą „Ruimus in perditionem,“ w którym pokazono więcej uczuciowości, niż rozumu i po przelaniu wielu łez nad samym faktem zakończono śmieszną iście apostrofą do kapitalistów żydowskich, ażeby, zadawalając się opanowanym przez nich handlem i przemysłem, pozostawili biednej ludności chrześciańskiej chociaż ziemię jej ojców, na której mogłaby żywot swój przedłużać.

Na ten piramidalnie... niewinny artykuł *Dziennika polskiego* odezwała się wiedeńska *Wiener Allgemeine Zeitung*, organ bankierów i giełdzistów, potępiając żale *Dziennika* jako wyraz poglądów całkiem przewrotnych, a wynosząc pod niebiosa żydów, którzy „bardzo gorąco zajmują się wszelkiemi czynnościami ekonomicznemi w kraju.“ „Żyd i obywatel — twierdzi organ wiedeński—są to w Galicyi nazwy równoznaczne.“

Jaką burzę wzbudziły w prasie galicyjskiej te aroganckie i zupełnie nieprawdziwe słowa, o tem długo byłoby mówić. Możnaby atoli statystycznie obliczyć, że ten jeden artykuł wiedeńskiej gazety o wywłaszczaniu szlachty przez żydów więcej napsuł krwi naszym Grakchom i Demostenesom, niż ogromne kolumny cyfr, obliczających licytacye tysięcy posiadłości włościańskich.

Lecz ani jedno, ani drugie nie dochodzi uszu i uwagi samej szlachty. Hierarchia społeczna bawi się w najlepsze u wód, a jej polityczni przedstawiciele w Wiedniu zajęci są, jak donosi *sub rosa* jedno lwowskie pismo, arcyważną, równie ekonomiczną jak i polityczną sprawą, a mianowicie *sprzedażą wiejskich okręgów wyborczych w Galicyi* żydom wiedeńskim przy przyszłych wyborach do Rady państwa. Idzie mianowicie o to, ażeby w tych wiejskich okręgach (osobliwie rusińskich), gdzie szlachcice nie zdołają może sami swoją siłą przejść, przy pomocy żydowskich pieniędzy przepchać wybory bądź to owych „baronów,“ bądź też ich narzędzi. Zrozumiecie zapewne, jakie wrażenie musiała wywrzeć podobna wiadomość na rusinów i jakie wrażenie wywrze ona na samych włościan.

Od tygodnia już Lwów zaalarmowany jest głuchemi wieściami z Borysławia, głównego ogniska naszego przemysłu naftowego, o wrzekomych antisemickich zaburzeniach, jakie tam miały wybuchnąć. Pierwotnie pojawiła się w dziennikach wiadomość, że 3,000 robotników napadło na żydów, pokaleczyło wielu z nich i zburzyło 8 domów; obecnie okazuje się, że zaburzenia miały cechę wprost przeciwną, t. j. były wyraźnie antichrześciańskiemi, gdyż kilkutysięczny tłum żydowski napadł na nieliczną garstkę robotników, z których około 20 zostało okropnie pokaleczonych. Bójka i rabunek trwały cały dzień, wojska w tej okolicy niema, żandarmom, którzy przybyli na miejsce, żydzi stawili opór, tak że ci wreszcie chwycili za broń i dwóch żydów położyli trupem.

Jutro, d. 27 lipca, zaczyna się wycieczka rusińskiej młodzieży, o której już dawniej wspominałem. Towarzystwo zbiera się w Drohobyczu, skąd wyruszy zaraz w poniedziałek do Borysławia. Będąc również uczestnikiem tej wycieczki, spodziewam się po zasięgnięciu na miejscu prawdziwszych i szczegółowszych wieści o stosunkach borysławskich, poświęcić im następną korespondencyę.

Myron.

POOBIEDNIA GODZINA.

Obiad był doskonały!.. wyborny!.. Zaiste
Nowy kucharz spisał się dzielnie... znać ar-
[tystę!
Menu nader głęboko pomyślane, z całą
Finezyą!.. Słowem, debiut pierwszy wypadł
[z chwałą!
Wiwat kucharz!.. Daj Boże, by nie był pi-
[jakiem...
Ach! jakaż-bo to rozkosz zjeść obiad ze sma-
[kiem,
A potem, dymek z fajki o długim cybuchu
Pykając — siedzieć, ot tak, gładząc się po
[brzuchu!
Człowiek wpada w stan błogi pół-snu, pół
[omdlenia...
Zaprawdę, wielką chwilą jest chwila tra-
[wienia!
Pełna niezmiernej wagi i głębokiej treści,
Bo rozmarza, upaja, koi, łechce, pieści
I pokrzepia zarówno i ducha i ciało;
Szkoda tylko, że takich chwil w życiu za
[mało.
Ha, słaby ustrój ludzki już więcej nie może.
Niestety!.. lecz i za to dzięki Tobie, Boże!
Ja się wcale nie skarżę... i nie mam powodu
Narzekać na swe losy... nie zamieram z głodu,

Jak tylu nieszczęśliwych... ach, ach, jak ich
[wiele!
Gonią cię na ulicy, w ogrodzie, kościele,
Napastują w twym domu, poły się czepiają,
Że się ledwo opędzisz przed tą głodną zgrają!
A na domiar wszystkiego dzień przechodzi
[rzadki,
Abym nie był wzywany do ofiar, do składki:
Na wdowy, na sieroty i Bóg wie na kogo...
Codzień wyłudzą ze mnie i ciągną, jak mogą!
Zbrzydła mi już do licha ta ciągła ofiarność,
Lecz nie dawać — to znaczy stracić popu-
[larność,
Wpaść w obmowę i stawić na pochyłość
[śliską
Wybitne w społeczeństwie swoje stano-
[wisko!
Noblesse oblige!... Rad-nie-rad człowiek wie-
[le czyni
Dla reklam gazeciarskich... dla dobrej opinii,
Dla stosunków, z którymi, jak z żelazną
[kartą,
Do zaszczytów i mienia mam drogę otwartą.
Od, naprzykład: od wczoraj — dzięki mojej
[kiesie —
Już wszyscy mowią do mnie, „szanowny
[prezesie!“
Wlazłem na wyższy szczebel społecznej
[drabiny,
Mam otwarte podwoje salonów hrabiny,
Gdzie bywa tylko wybór, rzec mogę —
[śmietanka,
Gdzie uprzejmym uśmiechem wita mię
[hrabianka,
Ściskają baronowie, prałaci, hrabiowie,
Sam książe Dymitr łaskaw pyta o me
[zdrowie!
Ot, jak człowiek wypłynąć prędko na
[wierzch może!
Płyńmyż dalej.. a ty mię nie opuszczaj Boże!..
Hm! „Prezes!...“ to brzmi ładnie... Pre-
[zes — gruba ryba.
Ta w ramach pozłocistych zwierciadlana
[szyba,
Przed którą teraz siedzę, powiada mi właśnie,
Że mi bardzo do twarzy jest z tytułem *jaśnie*.
Podobam się sam sobie, wyznaję to szczerze,
Nieraz się przeglądając w zwierciadle, nie
[wierzę,
Że to ja: twarz rumiana, z podgarlem pod
[brodą,
Gładka, lśniąca, spokojem dyszy i pogodą,
Brzuszek wcale pokaźny, a cała statura
Każdego też przekona, że jestem „figura!“
A przytem do tej pańskiej postawy i miny
Stosowne otoczenie: bronzy, gobeliny,
Marmur, kryształ, pozłota.. z czego się układa
Odbita w lustrze pyszna komnat amfilada,
W którą z okna, przez liści egzotycznych
[sploty,
Przedziera się lękliwie promień słońca złoty
I na śliskiej posadzce jasne ścieląc szlaki,
Biegnie aż do przedsionka.. het! tam... któż
[to taki?
Stoi, czapkę miętosząc i u drzwi się tuli,
Odzienie wyszargane... ni śladu koszuli...
Jakiś suplikant nowy — widać po postawie...
Że też nie mam spokoju nawet, kiedy trawię.
Dałem rozkaz wyraźny: hałastrę ubogą
Spędzać, spychać ze schodów, nie puszczać
[nikogo!
Wiem, gdzie dawać należy jałmużny i komu:
Co za sens się udzielać biednym pokryjomu?
Jeśli dać, to publicznie: za rzucone ruble
Niech piszą... niech świergoczą o mnie nawet
[wróble!..
Musiał lokaj intruza tego nie dopatrzeć
I wpuścił... łotr! gdzieś wyszedł... trza mu
[uszów natrzeć!..
Niechże suplikant stoi, gdy ma zdrowe pięty,
Udam, że go nie widzę, żem książką zajęty,
Może straci cierpliwość i pójdzie do licha,
Mam go w lustrze na oku... stoi, chrząka
[zcicha...
Daremnie!.. jestem głuchy... niech się waść
[odczepi...
A tymczasem gościowi przypatrzmy się
[lepiej:
Twarz znękana, wybladła, jakby po chorobie,
Cała postać zbiedzona... przypominam sobie,
Że już go gdzieś widziałem... lecz może się
[mylę —
Wszędzie-bo tej hołoty spotyka się tyle!
A wszyscy tak podobni do siebie z pozoru!
Nędza wszystkich z jednego modeluje wzoru:
Gdy ta mistrzyni kogo w swe rączki zabierze,
Wyjdzie z nich niezawodnie pół-człowiek,
[pół-zwierzę..
Które się staje ludzi porządnych postrachem.
Boże! wszystkich nakryłeś jednym niebios
[dachem,
Wszystkim nam jednakowo słońce Twe
[przyświeca,
A jednak w doli ludzkiej jak wielka różnica!
Jednych na głód skazujesz, na życie nędzarzy,
Drugim z łaski swej dajesz wybornych ku-
[charzy!
Widać, że tak potrzeba... korzę się Twej woli!
Niechaj tam sobie krzyczą demagodzy goli,
Że nasz ustrój społeczny nie jest z Twojej
[ręki,
Że gwałt, przemoc silniejszych, że te słab-
[szych jęki
Są wytworem spodlonej człowieka natury,
Niech krzyczą, że nad nami groźne wiszą
[chmury,
Z których spadnie na ludzkość odwet pio-
[runowy,
Niech krzyczą — bez Twej woli włos nie
[zleci z głowy!
Mój klient jeszcze czeka... wyznam — już
[mię nudzi —
Jakaż-bo to cierpliwość wielka u tych ludzi!
Stoi już od godziny, jak wykuty z głazu...
Żałuję, żem nie malarz: temat do obrazu!
Pan suplikant pokorny, ten strój zaszargany
Jakże pięknie odbija od tapetów ściany,
Od posadzki błyszczącej, złotej gzymsatury.
Znam się na tem, wszak jestem estetyk
[z natury!
Takie wielkie kontrasty: blask — prze-
[pych i nędza
Każdy się malarz za tym tematem upędza...
Jeszcze stoi i czeka... ani się poruszy!
Winszuję cierpliwości! — bo niema katuszy
Przykrzejszej od długiego w przedsionku
[czekania!
Doświadczyłem na sobie — mówię z prze-
[konania:
Dawniej się wycierało pańskie przedpokoje,
Zanim... no, lecz się o tem i wspominać boję,
Ach, ach! różnie bywało.. mój Boże kochany!
Ile to upokorzeń zniosłem i szykany!
Bieda wielką wytrwałość w człowieku u-
[rabia!...
Jeszcze stoi... doprawdy już mię usposabia
Przychylnie dla biedaka ta cierpliwość
[wielka,
Hm, cóż robić?.. możeby wetknąć mu rubelka?
Skrzypnęły drzwi... mój lokaj... zmierzył
[okiem srogiem,
Porwał... Stój! nie wyrzucaj!.. Gdzie tam!
[już za progiem!
A cisnął nim jak piłką... ach, baszybuzuku!
Spojrzę w okno... nieborak ledwo powstał
[z bruku,
Chwieje się, niby pijany... w twarzy krwa-
[we znaki...
Cóż to? grozi mi pięścią?.. Ach, zuchwały jaki!
Kto się tego spodziewał po jego pokorze?
Jacy to są przewrotni ludzie o mój Boże!
Proszę!! zbój jakiś pewnie!... jeszcze by
[mnie obił!..
A jam się już tak dobrze był dlań usposobił!..

Włodzimierz Wysocki.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

J. Klaczko **Wieczory florenckie**, tłom. Stan. Tarnowski, wydanie drugie. Warszawa 1884.

Staje przed nami zagadka, którą rozwiązać warto: *Wieczory florenckie* Klaczki, książka, będąca ostatecznie rozbiorem geniuszu Michała Anioła i Dantego, a więc dla szerokiej publiczności niezbyt ponętna, w ciągu lat trzech doczekała się drugiego wydania, nie licząc pierwszego druku w piśmie. Co to znaczy? Miałażby w naszem społeczeństwie być tak szeroko rozpowszechniona chęć czytania traktatów estetycznych z literatury obcej — starej? Trudno temu uwierzyć. Sprawozdawca nasz we właściwym czasie sypnął pełną dłonią pochwały dla tej pracy; ale pomimo wszystkich jej zalet, mimo całego wdzięku, jakim pióro tego autora zawsze się odznacza, nieprzestaje być zagadkowem wyjątkowe powodzenie jego książki. Jest tylko jeden szczegół, mogący nam dostarczyć klucza do tajemnicy: obok J. Klaczki, jako autora, podpisany na okładce hr. St. Tarnowski, jako tłomacz. Wiadomo, ile zapału budzi w kołach arystokratycznych każde, piśmienne lub prelekcyjne wystąpienie hrabiego-profesora. Entuzyazm ich jest tak wielki, że udziela się niższym, które porwane pędem z góry tłoczą się zawsze do Ratusza na odczyty i szczerze wierzą, że wszystko, co wychodzi z pod pióra lub z ust p. Tarnowskiego, warto ryć złotemi zgłoskami na kolumnach publicznych. Na tem skorzystał wydawca *Wieczorów florenckich*, a my z jego korzyści cieszymy się bardzo. Naprzód powiększa ona w oczach naszych znacznie wartość *społeczną* hr. Tarnowskiego, powtóre oświetla bladym promykiem ciemności świat arystokratyczny, który przecież widocznie coś po polsku czyta, jeśli przy tytule książki znajdzie godne swych oczu, mocno dostojnościami rodowemi pachnące nazwisko. Z tego względu tłomacz *Wieczorów florenckich* zasługuje na uznanie. Szczepy wielkopańskie, wynędzniałe umysłowo, nie przyjmują się już dziś na niwie literatury; obok hr Tarnowskiego niewielu dostojników rodowych atramentem autorskim palce plami — on więc gra bardzo ważną rolę społeczną.

H.

LIBERUM VETO.

Jeszcze o cholerze. — Uspokojenie. — Zamiłowanie w płodach swojskich. — Jedyne miasto. — Spalona Dukla i rozmyślania nad błogosławionym Janem. — Solidarne poręczenia jako sposób skracania rozgłości. — *Żywopisnaja Rossia* i *Wiedomosti*. — Doganianie wczora cugiem. — Wstręt czy apetyt. — Naród mańkutów. — Tandeta ilustracyj. — Groch na ścianę. — Koń czy krowa.

Przepraszam... jeszcze kilka słów o cholerze.

Prawie nie ulega już wątpliwości, że ona nie przybędzie do nas z Tulonu, ani wogóle z zagranicy. W tych dniach bowiem Hygia, która, jak wiadomo, przebywa stale w Warszawie, napisała do swej muzy w Tulonie list następujący: „Kochana służebnico! Szczególnie przez mnie umiłowany a czystość dziwnie miłujący naród tutejszy nie lubi żadnych płodów obcych, prócz dyrektorów fabryk, werkmajstrów, maszynistów, kanarków, guwernerów, lokajów, koni, bydła, owiec, materyj jedwabnych, wełnianych i bawełnianych, porcelany, grzebieni scyzoryków, karet i innych wyrobów przemysłu żyjących i nieżyjących. Otóż naród ten postanowił nie sprowadzać zniką cholery, lecz wytworzyć własną. Nie wiem, czy ci wiadomo, że tu, w stolicy kraju, nieczystości płyną wierzchem ulic, *cabinets d' aisance* otwarte i nigdy niemyte, w dzień biały przewożone są rozmaite mierzwy itd. Całego tego dostatku było wszakże za mało dla wypielęgnowania tak kapryśnej damy, jak cholera, to też dbali o swe zdrowie warszawianie, których liczba wynosi pół miliona, ponieśli jeszcze jedną ofiarę: wyrzekli się wody. A jaki to szcze-

gólny i rzetelnego podziwu godny naród, zrozumiesz gdy powiem, że lokatorowie właścicielom domów, właściciele magistratowi płacą za wodociągi, chociaż z kranów na wyższych piętrach i w oddalonych od Wisły dzielnicach tak nie wysączysz kropli wody, jak z oczka w pierścionku nie wyciśniesz łzy. Wobec takich przygotowań, sądzę, możesz uwiadomić cholerę, ażeby tu nie przysyłała swych „przecinków,“ gdyż one tu niezawodnie wyrosną bez obcego posiewu, a znajdą szeroki odbyt, jako swojskie. Ja wyjeżdżam i powrócę dopiero podczas silnych mrozów, które tu jedynie sprowadzają letarg dla zarazków. Hygia, bogini zdrowia.“

Na podstawie tego listu, który jest tylko wolnem tłomaczeniem prawdy, czytelnicy moi mogą spać spokojnie. Cholera z zagranicy nie przyjedzie, bo niepotrzebna, a jeśli przyjedzie, spotka w Warszawie dzielną współzawodniczkę, z którą konkurencyi nie wytrzyma. Bo proszę mi wskazać drugie w Europie miasto z półmilionową ludnością, które, leżąc nad wielką rzeką i zawarłszy od kilku lat kontrakt z p. Lindleyem, nie miałoby wody, a jego mieszkańcy nie otrzymywali rozgrzeszenia za to, że nią zbyt marnotrawnie (dwa razy na dzień po konewce przed domem) ulice polewają? To przecież jest czemś tak rzetelnie oryginalnem, że hej! od bieguna do bieguna gdzie znaleść widok podobny. Naturo zeszlij wszystkie zarazy, mogą swobodnie gospodarować, a ty ogniu, jakiś głupi, że sobie nie pohulasz w Warszawie, gdziebyśmy zaledwie skropili twój płaszcz płomienisty... rosą nocną, bo podobno już i w kranach pożarnych wody zabrakło. Wyprawiłeś sobie natomiast ucztę w Dukli...

W Dukli? Tak jest i to akurat w chwili, kiedy Galicya święciła jubileusz błogosławionego Jana. Ponieważ profesorowie uniwersytetu lwowskiego podpisali adres dziękczynny do tego męża i poświadczyli wiarogodność dokonanych przez niego cudów, mógłby więc kto sądzić, że błogosławiony Jan, okazał się niewdzięcznym, dozwalając zgorzeć rodzinnemu miastu. O ile rozumiem jego intencye, musiał on kierować się myślą głębszą. Rozumował zapewne tak: jeżeli jeszcze dziś, w r. 1884 profesorowie uniwersytetu są tak ciemni, tak obłudni, że swoją powagą legalizują moje mniemane cuda, to spalę Duklę za karę, że mnie na świat wydała i każe mi dziś z nieba patrzeć na te błazeństwa.

Jeżeli wszakże ten domysł nie jest mylnym, to pozwolę sobie zapytać błogosławionego Jana: co temu winna Dukla, że profesorowie uniwersytetu poświadczają twoje cuda? Gdybym ja od kilku wieków siedział w niebie i widział, co robi ciało uczone w Galicyi, byłoby mi przykro, ale bym z rozpaczy mojego miasta rodzinnego nie palił. Wprawdzie pozostaje jeszcze jedno przypuszczenie, że błogosławiony Jan z Dukli dawno w proch się obrócił, że go w niebie niema, że żadnych cudów nie robił i robić nie może — ale tę hypotezę pozbawioną wszelkich cech prawdopodobieństwa całkowicie wyłączam.

Bądź co bądź, solidarne poręczenia profesorów uniwersytetu lwowskiego stały się dla Dukli mniej skuteczne, niż takież poręczenia fikcyjnych dłużników, które są samorodnym naszym dowcipem prawnym i które znowu zajmują prasę. Pomysł tak prosty, że aż na pozór obniża genialność swego wynalazcy. Pożyczasz mi czytelniku pieniędzy na weksel; ponieważ z jakichkolwiekbądź powodów chcesz po upływie terminu zapłaty pozywać mnie w tym a nie w inym sądzie, np. tym, gdzie ty mieszkasz, a nie tym, gdzie ja mieszkam, więc wynajdujesz sobie solidarnego poręczyciela, z odpowiedniem miejscem pobytu, który kładzie na wekslu swój podpis bez mojej wiedzy i którego w sądzie od odpowiedzialności uwalniasz, zyskując przeciw mnie wyrok oczny. Nieuwiadomiony — nie oponuję, nie apeluję, aż wreszcie objaśnia mnie o wszystkiem komornik. Jak wytępić owych solidarnych poręczycieli (dziś już specyalistów, którzy nie posiadając żadnego majątku, zaciągnęli setki tysięcy mniemanych długów) — o to pytanie, nad którem rozmyślają prawnicy i dziennikarze. Nie ulega wątpliwości, że warszawskie lasceczniki wytwarzają chorobę społeczną, która zrządza wielkie szkody, oddając nieraz na łup lichwiarzy najuczciwsze jednostki a nawet otwierają drogę licznym nadużyciom i fałszerstwom.

. . . .

Do ilustrowania części polskiej w *Żywopisnoj Rossii* Wolff zapraszał artystów polskich. Nie wiem, kto został powołany, ale jeśli mój głos doścignie redakcyi, błagam, ażeby pominięto p. W. Kossaka, gdyż dzięki jemu świat pomyślałby, że polacy są to tak dziwni ludzie, że grają na skrzypcach rękami lewemi. W ostatniem numerze *Kłosów* znajduje się obrazek tego malarza, mający przedstawiać: „Życie w Zakopanem“ a raczej „Wycieczkę w turnie.“ Na skałach, rysowanych, w sposób domagający się wielkiego zmiłowania boskiego, siedzi trzech muzykantów, którzy lewą ręką wodzą smyczkami. Gdyby o tem dowiedział się stary Sobała, którego skrzypki odrysowano w *Echu muzycznem*, niezawodnie przysłałby mi energiczny protest i oświadczył, że p. Kossak „szkli,“ gdyż w całej zakopiańskiej kapeli niema ani jednego mańkuta. Właściwie p. Kossak nie „szkli,“ tylko za przykładem wielu naszych ilustratorów nie zadaje sobie trudu rysowania figur odwrotnie. Jeżeli każdy niemal furman Kostrzewskiego trzyma bat w lewej ręce, czemuż tej przyjemności ze smyczkami mieliby sobie odmówić grajkowie p. Kossaka. Nie podnosiłbym tego drobiazgu, gdyby on nie charakteryzował wymownie tego niedbalstwa, tego lekceważenia najelementarniejszych zasad techniki, tego upadku sztuki, który objawiają nasze ilustracye. W jednem z pism Witkiewicz zaczął gorliwie pracować nad podniesieniem tej gałęzi artystycznej, dając wizerunki rysowane i rytowane starannie, a publiczność pyta zdziwiona, czyj to ołówek, czyj to rylec? Często zagraniczny, ale często także krajowy, tylko ktoś go pilnuje, dobrze płaci, wybiera i czuwa nad tem, ażeby nie przekradła się tandeta, ażeby muzykanci nie grali na skrzypcach lewemi rękami. *Prawda* szykanuje, napada, lekceważy zasługę — odśpiewujcie sobie całą litanię bezmyślnych wykrzyków, a tymczasem dojdziecie do tego, że malarze będą wam rysowali niedługo ludzi z trzema nogami lub bez nóg — jak to już w grupach zbiorowych dziś się zdarza. Pomimo wszystkich zaprzeczeń i oskarżeń nie przestaniemy utrzymywać, że ilustracye nasze spadają coraz niżej i że niedługo żadna wybredniejsza kucharka nie będzie wyklejała sobie niemi kuferka. Mamy prawo sarkać, bo posiadamy liczny zastęp zdolnych malarzów i drzeworytników, którzy mogliby wypracowywać rzeczy piękne.

I ten groch, jak jego garście poprzednie, odbije się naturalnie od nieczułej ściany. Ale niechże przynajmniej ślad naszego protestu pozostanie, niech fabrykanci partactwa wiedzą, że ich robota nie znajduje powszechnego uznania. Może nawet nie omija jej zasłużona kara. Podobno liczba prenumeratorów ilustracyj zmniejsza się, kościółki im dokuczyły, a mańkuci nie zachęcają.

— Matusio — pytało raz dziecko, przyglądając się obrazkowi w jednem z pism naszych — czy to koń, czy krowa?

Matka rzuciła spojrzenie i odrzekła.

— Nie wiem — przeczytaj podpis.

„Łania przy zdroju.“

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Obowiązki p. Konopnickiej. — Wiarołomne anioły i ich gorset. — Krowy — jako sprężyna dramatów rodzinnych.—Głupota zbrodniarzy. — Skromne przypuszczenie korespondenta *Wieku*.—„Ubogie żydowstwo i dość liczny zastęp mieszczaństwa.“—Ogniowa kronika Międzyrzeca i jego budowniczy.—Niechlujstwo Siedlec.—Świadectwa końskie.—Małoletni pracownicy.—Moja rozmowa z administratorem.—Znikomość dóbr ziemskich na Wołyniu.

Jeżeli ani redakcya *Bluszczu*, ani p. Konopnicka nie „rozbudzą“ naszych kobiet w kierunku „wyższych pragnień,“ to nietylko *Kronika rodzinna*, ale i księża dający śluby zwątpią u nas o świętości ognisk domowych. Z całej trylogii gazeciarskich ideałów, ze „wszystkiego, co dobre, szlachetne i piękne“ panie nasze wybierają najczęściej ostatni — i to w formie, która dotąd naprożno stara się zdobyć uznanie oszukanego „pana.“ Połączone siły trzech *Kuryerów* nie mogły w przeszłym tygodniu wystawić u siebie wszystkich „dramatów rodzinnych,“ opowiedzieć wszystkich „ajednak prawdziwych“ okropności familijnych, jakiemi miejscowa reporterya i korespondenci zamiejscy zasilali narodowej mądrości skarbnicę. „Natężenie zawiedzionego wrażenia,“ jakby powiedział p. Ehrenfeucht, było tak wielkiem, że kładło *nabite* rewolwery do rąk izraelitów (Wieluń) i uzbrajało konduktorów kolejowych (Brześć), którym przecie służy pierwszeństwo rzucenia się pod lokomotywę. Że upały lipcowe mogą zobojętnić kobietę na wpływy p. Gomulickiego, który nakazuje bezwarunkowe posłuszeństwo dla „władcy duszy i ciała“ — to rozumiem; pojąć jednak nie mogę, dlaczego ludzie wykształceni najwyższe dążności i pragnienia swoje chowają za gorsetem anioła, któremu brodawka pana Ryszarda nie pozwala zagrzebywać się w prozie małżeńskiej wierności. Nigdy nie umiałbym zapłakać nad grobem rogatego samobójcy, a raczej łzy moje przeznaczałbym zawsze dla społeczeństwa, w którem niebieskie oczęta Mani lub Anieli większą ściągają daninę serc rozbitych, niż cierpienie i niedola wszystkich wydziedziczonych. Prawowierni katolicy mogą tu znaleść jakie takie usprawiedliwienie, gdyż wyższy patryotyzm nie pozwala nam nawet myśleć o rozwodzie, ale pocóż jeszcze mordują się żydzi, którym każdy rabin potrafi do zrzucenia rogów dopomódz?

Węzłem dramatów rodzinnych może być zresztą nietylko kobieta, ale i krowa, zwłaszcza kilka krów razem. W powiecie zamojskim, opowiada *Gazeta lubelska*, młody włościanin ożenił się rok temu z córką jednego z zamożnych gospodarzy swej wioski. Ojciec, dając jedynaczce w posagu połowę gruntów i kilka sztuk bydła, obiecał „odpisać“ dla niej przed śmiercią cały swój majątek. Pozostałe krowy do takiego stopnia kokietowały szczęśliwego posiadacza jedynaczki, że dla zdobycia ich nie wahał się zabić jej ojca, śpiącego w stodole. W zbrodniach tego rodzaju najbardziej przerażającą jest — głupota winowajcy. Że stary chomont posiada dla naszych Maćków tyle uroku, ile patryotyczna z niemcami walka na giełdzie dla platonicznych miłośników obligacyj—to rzecz jasna; że pierwsi z taką mniej więcej łatwością uciekają się do kłonicy lub siekiery, z jaką drudzy wydziedziczają całe rodziny drogą cichego bankructwa — to również łatwo przewidzieć; ale aby zamordować najspokojniej teścia w obliczu całej wsi, dokładnie znającej nasze stosunki familijne — na to potrzeba być przedewszystkiem gruntownie głupim. Kretynizm zdejmuje też ogromną część winy z głowy naszych chłopów, dla których nietylko w tym jednym wypadku za karę jak najszerzej należy otworzyć — szkoły.

Przyczyn smutnego stanu uobyczajenia ludu nawet dzienniki zachowawcze szukają w wadliwości obecnego ustroju: „Coś się jednak popsuło w układzie społecznym...“ mówi nieśmiało radomski korespondent *Wieku*... Tak? Cóż u licha mogło się tam u was popsuć jeszcze. Szczęśliwi! Myśmy tutaj przestali zwracać uwagę na podobne niespodzianki. Wniosek korespondenta nie tyle oryginalny ile spóźniony, ma na celu skarcenie lenistwa i niedbalstwa włościan. „Spotyka się śród chłopów ludzi, którzy poszukują robotników; niezawsze ich znajdują, niemający zaś pracy z własnej winy szukają nielegalnych zarobków i sposobów do życia.“ Z tem wszystkiem, jak twierdzi autor nieco dalej, „proletaryatu wiejskiego jeszcze niema... stanowi go przeważnie ubogie i próżniacze żydowstwo i dość liczny zastęp biedniejszego mieszczaństwa.“ W miasteczkach więc mają się zawiązywać bandy rabusiów i złodziei, posługujących się rozleniwionym i rozpojonym chłopem w wykonywaniu swych zamiarów. Odsuwając na bok „pokątnych doradców,“ którzy przed trybunałem gazet biorą na siebie odpowiedzialność za winy wiejskiego ludu, zapytajmy — z jakiej właściwie warstwy rekrutują się owi hultaje i służalcy „biednego żydowstwa,“ skoro „proletaryatu wiejskiego niema“ i kiedy „włościanie, pomimo niewielkich stosunkowo działków, których są właścicielami, przychodzą czasem do grosza i chętnie pretendują o zakup ziemi.“ O „chętnych“ pretensyach nie wątpiłem nigdy; przypuszczam jednak, iż większość wieśniaków przychodzi naprawdę do „grosza,“ ponieważ zaś jednostką pieniężną jest dzisiaj „rubel“ — więc „spotyka się wśród włościan itd.“ Dla ostatecznego wyświetlenia tej sprawy chciałbym wiedzieć, o ile „ci, co poszukują robotnika“ znają wartość pracy i czy szukający „nielegalnych zarobków i sposobów do życia“ — dość często pozwalają komu należy wpadać „na trop“ swoich wędrówek.

Do pesymistycznej odpowiedzi na ostatnie pytanie uspasabiają mnie losy Międzyrzeca. Miasteczko to postanowiło *spalić się* do szczętu. Na uwagę przedewszystkiem zasługuje klasyczny spokój jego kronikarza, opisującego w *Kur. War.* bohaterstwo podpalaczy. „W d. 13 b. m. zgorzała stodoła itd.; w d. 21 b. m. o godz. 7 wynikł *siódmy* z kolei pożar, niszcząc siedem domów itd. w d. 22 b. m. zjechał do miasta naczelnik powiatu z budowniczym i oglądał zabudowania miejskie. W kilka godzin zajaśniała znowu łuna na dwóch krańcach miasteczka.“ W d. 23 b. m. o godz. 1 pożar ogarnął itd. Ratunek był dobry, brakło tylko — wody. Obecnie krążą pogłoski, że podpalacze przygotowują pogorzel całego miasta.“ Od siebie mógłbym zapewnić korespondenta, że całego nie spalą, bo już połowa leży w gruzach...

Tak więc, czytelniku, jeżeli się wyrwiesz w Wieluniu z objęć wiarołomnego anioła— spotkać cię może koło Radomia „ubogie żydowstwo, używające dla swoich planów itd.“ Gdy uciekając zapędzisz się aż do Międzyrzeca — obejrzy cię najprzód budowniczy, a potem zginiesz w płomieniach. Nie ufam naszej wytrwałości; skoro jednak popracujemy tak gorliwie, jak dotąd, to cholera nie będzie się miała po co fatygować nad Wisłę.

Jeżeli zresztą zawita do nas to od strony Siedlec. Niechlujstwo tego miasta przewyższa najwspanialsze wyniki, do jakich dochodzą na tem polu połączone usiłowania semickiej i sławiańskiej ludności naszych grodów. Zarząd miejscowy doczekał się ostrej a zasłużonej nagany od korespondenta *Wieku*. „Wobec takiej abnegacyi municypalności, cóż dziwnego, że niechlujstwo ludności, zwłaszcza żydowskiej dochodzi do kulminacyjnego punktu... Jedyny policyant przy magistracie miejscowym, łatwo dający się poznać po czerwonym lampasie na czapce i rubinowym nosie, zajęty jest czem innem: zbiera myto od chłopów na targ przybyłych, lub łowi klientów dla pokątnych doradców.“ Natomiast, o ile wiem, pomysłowość mieszkańców nie próżnuje. Niedbalstwu swych opiekunów pragną oni przeciwstawić rozmaite wynalazki zapobiegające nieporządkom. Dotychczas wynaleziono już *świnie*, które starając się zwalczyć uprzedzenie ku sobie miejscowych żydów — ratują ich od duszących wyziewów. Uwadze rabinów siedleckich polecam wyklęte pokolenie chazeru: niech wpłyną na ochędóstwo swoich współwyznawców, gdyż inaczej herezya w ich łonie na korzyść szynki będzie nieuniknioną.

„Ubogie żydowstwo“ i „dość liczny zastęp mieszczaństwa“ spotkają wkrótce wielkie trudności w jednej z gałęzi swego przemysłu. Mówię o koniokradztwie. Wszystkie konie, jak piszą gazety, mają otrzymać stemplowane świadectwa, bez których sprzedaż i kupno tych zwierząt będzie niemożliwem (stara farsa. *Red.*). Ponieważ szlachetne czworonogi nie mogą wydawać atestatów niedołęstwa ludziom, pozwalającym się okradać, bardzo więc słusznie, że same dostaną paszporty. W ten sposób przypuszczać można, iż wkrótce wytworzy się nowy dział przemysłu koniokradczego— fałszowanie świadectw. Rzecz prosta, że naczelnicy band złodziejskich ze względu na zwiększone ryzyko i wydatki każą sobie drożej płacić tym, którzyby szkapę swoją polubownym chcieli odebrać sposobem. Niedowierzając zapewne projektowanym ulepszeniom mieszkańcy niektórych gmin i miast Cesarstwa (Mohylow nad Dnieprem) wysyłają sposobem równie polubownym na Sybir tych właśnie ze swych współobywateli, którzy inaczej albo musieliby myśleć o fałszowaniu świadectw, albo nakłaniać budowniczych do oglądania spalonych domów i stodół. Objawy takiego „samorządu,“ podkopując powagę władz sądowych, nie oddziaływają zapewne zbyt skutecznie na szerzenie się zgnilizny obyczajowej, mają one jednak olbrzymie znaczenie pedagogiczne dla... karzących.

Nie mniejszą od uszczęśliwionych koni opieką losów mogą się cieszyć małoletni pracownicy fabryk. Odnośna ustawa została znowu obostrzoną w ten sposób, że: „1) Właściciele lub administratorowie fabryk i zakładów przemysłowych za niezachowanie przepisów o pracy małoletnich ulegają karze aresztu do jednego miesiąca lub grzywnom do rs. 100; 2) za niedozwalanie małoletnim uczęszczania do szkół ulegają grzywnom do rs. 100,“ ale za to „karom powyższym ulegają bezpośredni doozrcy fabryczni, jeśli właściciele i administratorowie zakładów dowiodą, że nadużycie nie z ich pochodziło winy.“

— I cóż pan o tem myślisz? — zapytuje mię pewien „administrator,“ któremu przeczytałem o uleganiu grzywnom i kozie?

— Myślę, że was wzięto w kluby — jak małoletnich.

— Nie, panie, małoletnich my bierzemy w kluby, a my przecie znamy się na wszelkiem braniu.

A więc?

W zakładzie moim pracuje około 60 malców. Jeżeli godzina ich pracy da mi tylko ko 3 rs. zysku — to na miesiąc będę miał z niej 75 rs. Pensya dozorcy wynosi 25, a odpoczynek miesięczny w kozie jest dlań pożądanym. Odjąwszy od pozostałych 50 rs. wynagrodzenie jego zastępcy—zawsze „zarobię“ jeszcze 30 rs. Dwie godziny nad przepis ma dla mnie znaczenie około 1000 rs. nawet przy 12 krotnym na rok *odsiadywaniu* dozorcy..

Jakkolwiek był to żart tylko ze strony administratora—nie podobał mi się jednak. Cechę prawdopodobieństwa nadają mu zresztą rozmaite takie dziwolągi naszego życia społecznego, o jakich ani małoletni pracownicy, ani ich opiekunowie nie słyszeli. Oto np. po wszystkich krwawych „dramatach rodzinnych“ i okropnościach „ubogiego żydowstwa“ przeczytałem w jednej z gazet rozrzewniające swym spokojem doniesienie, że „na Wołyniu — jak twierdzi *Kijewlanin*—jest około 1,500,000 dziesięcin ziemi nie wykazanej w pomiarach rządowych i, co z tego wypływa, nieopodatkowanych.“ Nie zadziwia mię ani trochę pewna dość naturalna niedomyślność chłopa, gdy idzie o płacenie podatków, chciałbym jednak posiąść tajemnicę przechowywania owych dziesięcin. Wiem oddawna, że dobra doczesne są znikome — nie przypuszczałem jednak, że do takiego stopnia. Podpalacze z Międzyrzeca mogą się chować pod ziemię, ale pod czem że się chowa ziemia na Wołyniu? Czyżby żaden „budowniczy“ nie oglądał jej nigdy.

A. Kord.

Kielce. Do gubernialnego komitetu pomocy weszli członkowie tutejszej rady dobroczynności, oraz zaproszeni zostali: biskup Kuliński, prezes Tow. Kred. Rożycki, prezydent miasta Waniewicz i p. o. prezesa sądu okręgowego. Dowiedziano się już, że w 3 powiatach: stopnickim, pińczowskim i miechowskim straty dosięgły przeszło 671,500 rs., a potrzebujących wsparcia rodzin jest 1,290. Środki przedsięwzięto energiczne, składki w całej guberni otworzono. Owoce tych starań dotychczas są jeszcze bardzo skąpe.

Kowno. Od d. 13 b. m. weszło tu w życie Gubernialne Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń. Nie jest ono oparte na wzajemności przymusowej. Wśród mieszkańców nie obudziło dotąd żywego zajęcia.

Kijów. Tutejszy bank rolniczy wystawia na sprzedaż 18 majątków. Rzemieślnicy kijowscy chcieli niedawno założyć, na wzór warszawskich i odeskich, gospodę rzemieślniczą. Zarząd cechowy odmówił swego poparcia temu projektowi, jako też i innemu — otworzenia dla biednych rzemieślników kasy pożyczkowej, oraz wsparć na lekarstwa itp. Ta ostatnia odmowa sprzeciwia się nawet ustawie zarządu cechowego...

Lublin. W tych dniach toczyła się tutaj sprawa o nadużycia przy poborze wojskowym. Na czele oskarżonych stoi Szelking, naczelnik straży ziemskiej pow. lubartowskiego; współwinowajcami są: dwaj faktorzy Boruch Gordon i Lerer i felczer Ignacy Budiajew. Sędziowie wydali wyrok, mocą którego naczelnik straży ziemskiej skazany został na pozbawienie wszelkich praw stanu i przywilejów, rangi oficerskiej i orderów, oraz osiedlenie w gub. tobolskiej, na czas nieograniczony. Boruh Gordon i Budiajew na pozbawienie praw i zamknięcie w domu roboczym, pierwszy na 1 rok 8 miesięcy, drugi na 8 m. Lerera skazano na rok więzienia.

Sosnowiec. Dnia 23 lipca o godz. 5 powstał tu pożar w fabryce cynkweisu Kramsty. Później zapaliły się budynki nad kopalnią Fauny stojące. Straty znaczne. Kopalnia przez jakiś czas będzie zamkniętą.

Kalisz. Dnia 15 lipca w kościele kolegiaty kaliskiej odbyło się „historyczne“ nabożeństwo na pamiątkę bitwy pod Grunwaldem. W d. 10 października przypada takaż uroczystość na pamiątkę Chocima.

Płock. D[illegible] lipca jenerał Zurow, w towarzystwie gubernatorów płockiego i warszawskiego, oraz towarzyszących mu urzędników, przybił do tutejszego wybrzeża Wisły i po stosownem przemówieniu dopełnił rozdania wsparć.

Łódź. Usiłowano tutaj podpalić magazyny Banku polskiego. Sprawcy dotychczas nie wykryto.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 31 lipca.

Anglicy nie przestają oburzać się na swoich lordów. Oprócz głośnego meetyngu

w Hyde-Parku, odbyło się lub odbędzie w tych dniach kilka poważnych liczbą zgromadzeń (Exeter, Birmingham), mających na celu złamanie uporu Izby wyższej. Najgodniejszym uwagi jest meetyng manchesterski, w którym brało udział 80,000 osób pod przewodnictwem Brighta i w obecności Hartingtona, sekretarza stanu w ministeryum wojny. Gabinet Gladstone'a, obawiając się po trosze swoich liberalnych stronników, stara się ich przekonać na owych zebraniach, że o gruntownem zreformowaniu samej Izby lordów myśleć jeszcze teraz nie trzeba, jedyną zaś troską stronnictwa powinno być zniewolenie jej do przyjaznego przyjęcia bilu na przyszłej nadzwyczajnej sesyi jesiennej parlamentu. W duchu takiego ograniczenia wymagań przemawiali i Hartington i Bright — w ogrodzie manchesterskim.

Opinia publiczna Albionu dziwi się tymczasem lekkomyślności lordów, którzy, odrzucając projekt o *wyborach dozorców nad ubogimi*, pozbawili siebie dobrowolnie poparcia ze strony irlandczyków. Ci ostatni nakłaniają też Parnella, aby po skończeniu się posiedzeń parlamentu zwołał do Phoenix-Parku w Dublinie wielki meetyng, na którym, bezwątpienia, przyjaznych dla lordów usposobień wyrażać nikt nie będzie.

Kanclerz niemiecki, jak się zdaje, zaczyna kokietować Rzeczpospolitą francuską. Naprzód w jednym z dzienników angielskich znajdujemy wiadomość, iż Niemcy wymówiły się stanowczo od pośrednictwa pomiędzy Francyą i Anglią w sprawie złagodzenia oporu Rzeczypospolitej przeciwko redukcyi procentu od długu państwowego w Egipcie. Usunięcie się takie—gdyby się ukazało prawdziwem, przemawiałoby na korzyść Francyi, względem której anglicy, zwłaszcza po za granicami Europy, coraz groźniejsze zaczynają zajmować położenie. Dalej zachowanie się kanclerza w sprawach polityki kolonialnej francuzów — zdradza niemniej przyjazne dla nich usposobienie.

Nie wiemy czy w związku z niemieckiemi zalotami czy też całkiem od nich niezależnie pojawił się w jednym z ostatnich numerów paryskiego *Figara* artykuł propagujący... przymierze Francyi i Niemiec. Polityk *Figara*, zaznaczywszy, iż stosunki jego ojczyzny do Anglii coraz to bardziej się naprężają, że Rosya jest daleko, Austrya się usuwa a Włochy są zadąsane — przychodzi do wniosku, że jedynym i *naturalnym* (!) sojusznikiem Francyi mogą być... zwycięzcy z pod Sedanu. „Zapał narodowy francuzów znajdzie dla siebie ujście w wyprawach zaeuropejskich, w których mu Niemcy nietylko przeszkadzać nie będą ale pomogą.“ Rozumie się, że naród francuski nie podziela tych pragnień, których urzeczywistnienie, jeżeli i dopomoże Francyi w jej polityce kolonialnej — to tylko za cenę bezwzględnej nad francuzami przewagi niemców — w Europie.

Rząd chiński skłania się, jak słychać, do pokojowego załatwienia sporu, co byłoby bardzo dziwnem wobec wyjątkowo-trudnego dzisiaj położenia przeciwnika. Zgromadzając wszystkie zapasy i statki wojenne w Tulonie — prezydent Rzeczypospolitej— pozbawił siebie możności korzystania z nich teraz, gdyż okręty, wypłynąwszy z miejsca nawiedzonego zarazą, nie znalazłyby nigdzie po drodze portu, któryby je chciał wpuścić i gdzie mogłyby się zaopatrzyć w niezbędny dla nich węgiel itd. To też obecnie Ferry ucieka się do *prywatnych* środków obrony, i gotuje okręty floty handlowej. Miejscem zbornym dla nich ma być Brest.

Na Madagaskarze wojska francuskie podobno poniosły dość znaczną porażkę; wiadomość ta wymaga jeszcze potwierdzenia. Epidemia w Tulonie i Marsylii znacznie osłabła.

CUDZE GŁOSY.

Wiek przytacza słowa żytomierskiego korespondenta gazety *Russk. Jewr.*, który rzuca pewne światło na stosunki religijne żydów:

„Uskarża się naprzykład na eksploatacyę, jakiej ulegają ze strony podróżujących cadyków biedne masy żydowskie. Był wypadek, że jeden z takich dygnitarzy rabinizmu za odprawienie modłów w ustronnej synagodze ściągnął nazajutrz przez agenta swego po rublu od osoby, i płacili owe ruble wszyscy, nawet najbiedniejsi. Jaki zaś użytek z tak zebranych pieniędzy się robi, dowodzą inne fakty, przytoczone przez korespondenta. Tak np. córka jednego z cadyków, mając wyjść za mąż, oświadczyła, że nie uczyni tego, jeżeli ojciec nie kupi jej brylantowych zausznic za 4,000 rubli, i zausznice zostały kupione. Obecnie żona tego cadyka postawiła takie same żądanie z powodu ślubu syna i ono również zostanie zapewne spełnione. Zdzierstwa tego rodzaju nie są wyjątkiem, lecz przeciwnie odbywają się stale.“

Okazuje się więc, iż wobec ciemnoty nawet solidarność plemienna może być szkodliwą i że „augurowie“ żydowscy nie pozostają w tyle za innymi.

Nowoje Wremia porusza w jednym z ostatnich numerów bardzo ciekawą sprawę. Oto co pisze:

„Ostatniemi czasy zaczęła się błąkać w pismach naszych (rosyjskich) wiadomość o mających wkrótce nastąpić uzupełnieniach do znanego prawa z d. 10 (22) grudnia r. 1865, zabraniającego nabywania ziemi w kraju półn. zach. „osobom polskiego pochodzenia.“ Jeśli wiadomość powyższa jest prawdziwą, to musimy zaznaczyć, że spodziewane poprawki i uzupełnienia byłyby obecnie bardzo na czasie, jeżeli naturalnie zdołają one istotnie zapełnić niektóre luki w tem prawie, głównie zaś — znieść możność sprzedaży w inne ręce ziemi, otrzymanej przez rosyan pod wyjątkowemi warunkami. Należy również oczekiwać, że na przyszłość nie będzie żadnych wyłączeń z pod prawa rzeczonego (w rodzaju np. wyjątków uczynionych dla ks. Radziwiłła), oraz, że dla otrzymania w zachodnich guberniach rosyjskiego charakteru własności ziemskiej niemcy będą usunięci od prawa nabywania ziemi na równi z polakami. Oprócz samych postanowień, należy zwrócić także uwagę na to, ażeby w praktyce postanowienia te nie były omijane. Administracya miejscowa powinna zbadać przyczyny, zmuszające rosyjskich właścicieli ziemskich, włościan i żołnierzy dymisyonowanych do zbywania swoich gruntów, nabytych za bezcen, katolikom i do opuszczania kraju. Przyczyny te muszą mieć charakter ogólnej natury, nie zaś chciwości tylko i żądzy zysku. Już to w ogóle rosyjska kolonizacya w kraju zachodnim nie odegrała wydatnej roli, a zwłaszcza własność włościańska. Odosobniona i nieznaczna liczba właścian rosyjskich, a nawet i wytrwalsi od nich żołnierze dymisyonowani tęsknią do ojczyzny, co pobudza ich do powrotu do gubernii czysto rosyjskich.“

W słowach tych widać niejaki postęp— w uznaniu mianowicie pewnej odrębności plemiennej gubernij północno-zachodnich od czysto-rosyjskich. Ciekawa rzecz jednak, komu doradzi gazeta sprzedać ziemię, gdy najwytrwalszy z „dymisyonowanych żołnierzy“ tak zatęskni za ojczyzną, że nawet redaktor *Nowego Wr.* nad Niemnem go zatrzymać nie potrafi. Jak się zdaje, najbardziej opiekunce naszej będą obowiązani tameczni wyznawcy Talmudu.

Gazeta warszawska dopiero z listu prywatnego i to aż z gub. petersburskiej dowiedziała się, że większa własność upada. Tam przechodzi ona w ręce „kułaków.“

„Kułak“ w języku tamtejszym oznacza spekulanta, który *per fas et nefas*, a głównie tą ostatnią drogą, na lichwie, szynkach i wszelkiego rodzaju wyzysku uboższej ludności, powiększa mienie swoje. Rekrutuje on się zwykle z niższych warstw społecznych; bez wykształcenia, bez szlachetniejszych instynktów, wierzy głównie w siłę pieniądza, a uganianie się za nim jest jedyną jego namiętnością. Otóż gospodarkę takich kułaków opisują nam w sposób następujący: "Trzeba widzieć wandalizm tych panów. W domu niegdyś pańskim urządza się „kabak“ (szynk), a obok niego buduje chatę mieszkalną, odpowiednią wymaganiom nowego właściciela. Park i droga, wysadzone aleją, padają pod toporem, nie mówiąc już o tem, że las się wycina, oranżerye i cieplarnie idą na rozbiórkę, a cegła z nich rozprzedaje się na kominy i piece, pola zarastają krzakami, bo „kułak“ nie kocha się w ziemi, a rozpojony chłop lepszy przynosi mu zysk od rolnictwa, zysk tem pewniejszy, że gdy za zaległe podatki sprzedają zubożałemu chłopu ostatnie sprzęty, zostaje on na łasce „kułaka,“ który w niedługim czasie obiera go do nitki." Nietylko więc u nas większa własność, z przedstawicielami jej oświeconymi, reprezentantami wyższych warstw społecznych, znika z powierzchni. Niekorzystne stosunki agrarne starej Europy odbijają się w najdalszych zakątkach. *Caveant consules!*“

Nam się zdaje, że tu „consules“ nic nie pomogą, chyba ubezwłasnowolniwszy panów, którzy hulają w miastach a ziemię i lud zostawiają na łasce „kułaka,“ co zapewne w przekonaniu naszych obrońców większej własności jest lepszem, niż chłop skupujący dworską ziemię. Wszakże parcelacya — to klęska!

KRONIKA BIEŻĄCA.

Na powodzian. Dziś 2 sierpnia ma się odbyć na Nowej Pradze przy ulicy Środkowej nr. 74 widowisko amatorskie na rzecz dotkniętych powodzią mieszkańców pow. warszawskiego. Wykonane będą: *Dwie miary*, *Mąż od biedy* i *Chleb ludzi bodzie*. Śpiewy i muzyka mają się przeciągnąć do godz. 3 rano.

Wycieczka naukowa. W pierwszych dniach lipca studenci dwóch wyższych kursów wydziału przyrodniczego tutejszego uniwersytetu przedsięwzięli geologiczną wycieczkę pod przewodnictwem prof. Trejdosiewicza. Na wyprawę tę uniwersytet dał od siebie 200 rs. Zwiedzono: Puławy, Zawichost, wieś Gromadzice, góry Świętokrzyskie (od Łysej Góry do Łysicy), Bodzechów, Opatów, Ujazd, Sandomierz i Góry Pieprzowe.

W uniwersytecie Jagiellońskim podniesiono ostatnimi czasy sprawę utworzenia katedry filologii romańskiej. W braku kandydatów polaków (?) postanowiono powołać dra Emila Freymonda, francuza, którego matką była polka. Kandydat, będący lektorem języka francuskiego w uniwersytecie wrocławskim, umie nieźle po polsku i na propozycyę z Krakowa zobowiązał się nauczyć w jaknajkrótszym czasie języka polskiego tak, aby mógł w nim wykładać. Tymczasem uniwersytet heidelberski powołał go na rzeczywistego profesora. Kwestya teraz: skąd wziąć uzdolnionego kandydata. Czyżby rzeczywiście nie było romanisty polaka, kwalifikującego się do objęcia katedry uniwersyteckiej? Znalazłby się, ale o takiego, co to... ze spowiedzią w porządku—trudno.

Ucząca się młodzież. Studenci wszechnicy zagrzebskiej uchwalili na ostatniem walnem zgromadzeniu manifest, którego ostatni artykuł tak opiewa: "My, wdzięczni synowie twoi (Chorwacyi), przeklinamy imię, przeklinamy pamięć judasza Józefa Miskatowicza i jego zwolenników (stronnictwo „narodowe,“ przychylne rządowi węgierskiemu); my wdzięczni twoi synowie, pragniemy pomsty i tęsknimy za owym dniem, w którym zdrajców dosięgnie zasłużona kara.“ Manifest powyższy ogłasza *Sloboda*, organ Starczewicza i zwolenników jego, t. z. *stekliszów* (wściekłoszów), radykałów w sejmie chorwackim. Ban wezwał rektora do podania mu imion studentów i postanowił chwycić się w danym razie najskrajniejszych środków, nawet zamknięcia uniwersytetu.

Rolnictwo. D. 28 lipca odbyło się w Brwinowie pod Warszawą próba żniwiarek. Kandydatek do popisu było pięć, oprócz żniwiarek była jeszcze jedna kosiarka. Pod względem dobroci i ilości roboty wynik porównania jest następujący: 1 miejsce zajmuje żniwiarka ulep-

szona Lilpop Rau i Loew. 2 „Single Champion“ (Wasilewski i Pilaski). 3 „Przodownica“ Grubińskiego (dostawiona przez Lilp. R. et Loew.). 4 „Wood“ (dostawiona przez Rehfelda, Dubeltowicza i Sp.). 5 „Light Champion“ (Wasilewski i Pilaski). Brak jeszcze wyników próby dynamometrycznej.

Przemysł i handel. *Praw. Wiest.* ogłasza, iż uwalnia się od opłaty celnej przy wprowadzeniu do państwa rosyjskiego: beczki drewniane próżne, pudła, skrzynki, kobiałki, kosze itp. wogóle wszelkie naczynia i opakowania, w których wywożono zagranicę produkty rosyjskie.

Licytacye. *Praw. Wiest.* donosi, iż w guberniach kowieńskiej, wileńskiej i grodzieńskiej ma w tych dniach uledz sprzedaży przez licytacyę 28 majątków — po większej części za długi skarbowe a także i za prywatne. Wszystkie prawie majątki są kilkunasto lub kilkuwłókowe z wyjątkiem paru, posiadających od 800 do 1000 dziesięcin.

Odmowna odpowiedź spotkała mieszkańców Tomaszowa, którzy prosili ministra finansów o upoważnienie tomaszowskiej filii banku państwa do udzielania pożyczek na zastaw towarów i eskonto weksli.

Ruska młodzież akademicka z Galicyi i Bukowiny urządza d. 7 sierpnia wiec studentów w Kołomyi. Przedmiotem obrad będą trzy doniosłe sprawy: 1) uzupełnienie uniwersytetu lwowskiego wydziałem lekarskim, 2) równouprawnienie języka ruskiego na wszechnicy we Lwowie i 3) utworzenie katedr ruskich w uniwersytecie czerniowieckim. Wezmą także udział w obradach rusini z wszechnicy wiedeńskiej. Tak spędza wakacye młodzież ruska, a polska tymczasem robi — co? Rozmyśla podobno, jak słyszymy, nad rozwiązaniem czytelni akademickiej we Lwowie, która coraz więcej cierpi na niedokrwistość.

„Pozytywnych“ Narzymskiego, w przekładzie Howorki, grano z wielkiem powodzeniem ubiegłego tygodnia na scenie czeskiego teatru narodowego w Pradze. Sztuka ta zająć ma, jak zapewniają *Narodni listy*, stałe miejsce w repertuarach scen czeskich.

Ks. Michał Formaniosz, zmarły d. 27 lipca proboszcz i dziekan lwowski, darował przed śmiercią bibliotece uniwersyteckiej we Lwowie wszystkie swoje przez 45 lat zbierane skarby w książkach, których poczet wynosi przeszło 100,000 tomów. Doborowa ta biblioteka, złożona głównie z rzeczy nowszych, zawiera też wiele i białych kruków. Wszystko to pięknie oprawne i bardzo dobrze utrzymane. Antykwarze, jak wiadomo, tani kupcy, ocenili wartość zbioru tego co najmniej na 50,000 złr.

Zmarły a tak wspaniałomyślny ofiarodawca poświęcał się specyalnie historyi sztuki, nie zostawił jednak żadnej pracy piśmiennej. W życiu publicznem brał żywy udział i obowiązki pełnił sumiennie. Jako radny miejski przez długie lata opuścił tylko dwa posiedzenia z powodu, że go wezwano do umierającego. Z gorliwości swej znanym był niemniej w Radzie szkolnej okręgowej, jakoteż i na innych polach działalności. Cześć mu i sława!

Oświata. Gubernia mińska—czytamy w *Wieku*—posiada ogółem 346 szkół; w tej liczbie: 8 średnich zakładów naukowych, 316 niższych oraz 22 szkoły specyalne lub wyznaniowe. Do średnich należą gimn. filol. męsk. w Mińsku i Słucku; 6-klasowe progimn. w Mozyrzu, 4-klasowe w Bobrujsku; 7-klasowa szkoła realna w Pińsku, 3 wyższe klasy takież szkoły w Mińsku i seminaryum prawosławne—tamże. Z żeńskich korespondent wymienia 7 - klasowe gimnazyum w Mińsku. Szkół ludowych przypada:

w powiecie	bobrajskim	36	uczniów zaś	6,510
„	borysowski	35	„	4,872
„	ihumeński	42	„	3,815
„	miński	33	„	5,329
„	mozyrski	23	„	5,069
„	nowogrodzki	32	„	6,344
„	piński	32	„	5,304
„	rzeczycki	33	„	4,123
„	słucki	28	„	8,190

— Progimnazyum w Wilnie z początkiem nadchodzącego roku szkolnego przekształcone zostanie na pełne gimnazyum o 8 klasach.

— Biblioteka publiczna w Kownie zawiera obecnie przeszło 60,000 tomów.

Polskie akad. stow. „Ognisko“ w Wiedniu obchodzi z początkiem listopada b. r. 20-letnią rocznicę istnienia. Za staraniem obecnego wydziału zawiązał się w tym celu komitet z obecnych i dawnych członków.

Ex-Jezuita Curci wydał nową książkę przeciwko Watykanowi p. t. „Scandalo del Vaticano regio,“ w której oświadcza, iż będąc w wieku podeszłym nie myśli się wdawać w dalszą polemikę. Biada zwyciężonym... stosom św. inkwizycyi!

Przemysł. W roku ubiegłym wszystkich wogóle zakładów przemysłowych i fabryk gubernia lubelska liczyła 797, a produkcya ich wynosiła pokaźną sumę rs. 8,321,681; 5382 robotników pracowało w fabrykach.

Statystyka. Liczba uczniów wyznania mojżeszowego w gimnazyach i progimnazyach w Kr. Polskiem ciągle się pomnaża. W r. 1877 było 1007 wychowańców, co stanowiło około 12%; w 1884 było 2426 żydów tj. 20%. Największy przyrost spostrzegać się daje w Warszawie.

— Spis ludności Rygi wykazał, że ogólna cyfra miesz. wynosi 125,702. Umiejących czytać 59%. Nieumiejących ani czytać, ani pisać jest: rosyan 11,827, polaków 530, łotyszów 8,510, niemców 6,627, żydów 3,905.

Zmarli: Karol Baum w Wrocławiu, szewc, prezes tamtejszego Towarzystwa przemysłowego (polskiego), redaktor w duchu polskim wydawanych *Nowin śląskich*. Z całej, ciekawej wielce biografii, zajmującem jest to, że zmarły był... niemcem.

Urodzaj na cielęta. *Gazeta narodowa* donosi: „...spadł grad niewidzianej dotąd wielkości, pomiędzy którym znajdowały się bryły wielkości *dużego cielęcia*, i w kilka minut prawie przestrzeń uprawianej roli zamieniła się w *lodowatą górę*...“ Ależ to „góra dużych cieląt!..“

Nadesłane. Zastój w rozwoju rzemiosł, konkurencya towaru zagranicznego i pewnego rodzaju niższość niektórych wyrobów tutejszych rzemieślniczych, jak niemniej wieść o mających się dokonać zmianach w ustroju zgromadzeń cechowych, skłoniły Warszawskie Towarzystwo Popierania Przemysłu i Handlu, do wyznaczenia oddzielnej Delegacyi, mającej zbadać warunki, w jakich dokonywa się u nas praca rzemieślnicza. Delegacya przed zaprowadzeniem środków zaradczych, musi poprzednio postarać się o dokładne zbadanie tak dzisiejszego stanu stosunków rzemieślniczych, jak i o ścisłe określenia i praktyczne, co mianowicie zrobićby można, aby złe trapiące rękodzielnictwo krajowe usunąć, i co przedsięwziąść wypada, aby podnieść stan rzemiosł, zapewnić im większą produkcyę i zbyt wyprodukowanego towaru.

Delegacya odniosła się do Starszych Zgromadzeń i osób obznajmionych ze stosunkami rzemieślniczymi o nadsyłanie odnośnych uwag i wskazówek. Gdy jednak znaleźć się mogą jeszcze i inne osoby chętne i dokładnie obznajmione z tą sprawą, przeto Zarząd za pośrednictwem niniejszego pisma udaje się do nich z prośbą o skreślenie wszelkich uwag i myśli, jakie tylko mogą mieć związek z wprowadzeniem ulepszeń w naszych stosunkach rzemieślniczych.

Szczególniej zaś pożądanemi byłyby odpowiedzi na następne pytania:

1) Czy Ustawa Rzemieślnicza z r. 1816 jest odpowiednia teraźniejszym potrzebom rzemieślników? coby z niej usunąć wypadało? lub jakie zmiany zaprowadzić?

2) Czy do zgromadzeń rzemieślniczych mają należeć wszyscy rzemieślnicy bez różnicy wyznań?

3) Czy nie byłoby pożytecznem zniesienie majstrów tak zwanych konsensowych i wydanie postanowienia, aby każdy, kto chce otworzyć warsztat, przyjmować robotę na swoją rękę, utrzymywać uczniów rzemieślniczych, winien zgłosić się do Urzędu Starszych i tam, po odbyciu właściwego egzaminu i odrobieniu sztuki, otrzymał świadectwo na majstra?

4) Ponieważ szkoły fachowe są nieodbicie potrzebne, czy jednakże uczniowie, wychodzący z takich szkół, powinni i jak długo terminować u majstra, przed otrzymaniem świadectwa na czeladnika?

5) Jakie jest zdanie co do dzisiejszych szkół rzemieślniczych niedzielnych i czyby nie można ich zastąpić wieczornemi, z lekcyami w dni powszednie?

6) Jakich trzebaby zmian wymagać w sądach pokoju i gminnych, aby rzemieślnicy mogli jak najtaniej sprawy swoje załatwiać i czy pożądanemi byłyby bardziej surowe przepisy, odnoszące się do robotników samowolnie porzucających majstrów, i do majstrów, bez wypowiedzenia oddalających czeladników i robotników?

7) Jakimi sposobami możnaby zapewnić byt niezamożnym rzemieślnikom starym, lub wogóle niezdolnym do pracy w skutek kalectwa, starości lub t. p. powodów?

8) Jakichby potrzeba kas pożyczkowych, magazynów spółkowych lub innych tym podobnych instytucyi, aby przyjść z pomocą rzemieślnikom w rozwoju ich interesu?

9) Dlaczego towary zagraniczne konkurują z naszymi wyrobami, i coby zrobić wypadało, nie rachując na cła, aby konkurencyę tę uczynić nieszkodliwą i wytrzymać ją z łatwością?

10. Coby zrobić potrzeba, aby zwiększyć sprzedaż naszych wyrobów w kraju, a szczególniej też w Cesarstwie? i jakie głównie przedmioty z profesyi rzemieślniczych wywożone są do Cesarstwa?

Oprócz szczegółowych odpowiedzi na powyższe pytania, byłoby do życzenia, iżby ujawnione być mogły i inne złe strony urządzeń rzemieślniczych i wszelkie jakie się nasuną myśli i środki, poprawić stan rzeczy mogące.

O łaskawe nadsyłanie uwag, o ile można w najkrótszym czasie upraszamy, pod adresem: *Zarządu Oddziału Towarzystwa Popierania Przemysłu i Handlu w Warszawie.*

Prezes: *L. Krasiński.* Vice-prezes: *W. Kiślański.*

OFIARY.

Dla powodzian. Korewo Antoni ze Starejwsi rs. 2 Marya Malinowska z gub. połtawskiej rs. 10, T. S. rs. 1, Skupiewscy rs. 3, Mewos rs 1, Owsiński rs. 1, Topenhal rs. 1, Mareński rs. 1, Domański rs. 3, Jednojewski kop. 50, Bielinka kop. 30, Ustym Mielnik kop. 40, Harasimowicz kop. 20, Michał Surwiłło kop. 15, Drozdowski kop. 30—z Porzecza; Dr. Antoszewski z Antoszewa rs. 5, Dąbrowski rs. 8, G. B. rs. 5, Kosińscy rs. 3—z Białegostoku; Dr. Rodzewicz z Nerechty rs. 2 k. 78, A. S. z Lugańska rs. 10, Inżenier Chełmiński rs. 19 kop. 35 i za pośrednictwem tegoż inż. Chełmińskiego, zebrano rs. 70 — z Wyszniego Wołoczka; A. i O. A. z Petersburga rs. 200 i dla biednych do uznania redakcyi, Ludwik Monkiewicz rs. 3, Kijakowski z Głębokiego rs. 5; Służba ekspedycyjna stacyi towarowej drogi Warsz.-Wiedeńskiej rs. 55 kop. 80, Rekosz rs. 2 k. 35 z Kowna.

Na kolonie letnie. Dąbrowski rs. 1.

Dla biednej. S. K. rs. 4 kop. 50, Bowy rs. 3, X. rs. 2, Dąbrowski rs. 1, A. S. z Lugańska rs. 5, Inżenier Chełmiński z Wysznie-Wołoczka rs. 5.

Dla studentek polek w Petersburgu. Dąbrowski rs. 1.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Іюля 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.